

KRZYSZTOF KOCHAŃSKI

ZABÓJCA CZAROWNIC



KOCHANSKI KRZYSZTOF

Zabojca czarownic

KRZYSZTOF KOCHAŃSKI

ZABÓJCA CZAROWNIC

Noc jest porą, gdy większość żywych istot pogrąża się w stan zwany snem. Tak jest na wszystkich planetach, do których człowiek dotarł i które skolonizował. Ogólnie rzecz biorąc, ludzie szanują ten stan rzeczy i przestrzegają go, a gdy sytuacja nie pozwala na dostosowanie się do ogólnego prawa, łamią je niechętnie. Bo nie tylko zmęczenie, lecz również ciemność i cisza wywołują potrzebę snu. Chyba, że ktoś jest czarownicą.

Nik Anders doskonale o tym wiedział i przed snem nigdy nie zapomniał zostawić w drzwiach, oknach i otworach wentylacyjnych magicznych znaków zabraniających wstępu sługom Szatana. Dla niego była to sprawa życia lub śmierci. Obawiał się zemsty czarownic, bo był ich zabójcą. Jedynym zabójcą, który zabijał i żył nadal.

Tego wieczoru zabezpieczył swój apartament hotelowy bardzo wcześnie. Noc zapowiadała się mglista i bezgwiezdna. Księżyc, choć był w pełni, nie przebijał wilgotnej zasłony chmur, sporadycznie jedynie rozbijanej podmuchami wiatru.

Nagle Andersa omyła fala niepokoju i zaraz potem usłyszał pukanie do drzwi. Wyteżył swój zmysł telepatyczny i już wiedział, że na korytarzu stoi kobieta. Nie zdołał odczytać jej uczuć, ani stanu emocjonalnego, ale mogło to być spowodowane istnieniem przegrody jaką stanowiły drzwi. Drewno jest doskonałym izolatorem utrudniającym telepatyczne rozpoznanie. Ze względu na odebraną wcześniej falę niepokoju należało zachować szczególną ostrożność. Anders upewnił się co do prawidłowego położenia magicznych znaków i otworzył drzwi. Mężczyzna, którego ujrzał, uśmiechał się niepewnie.

–Dobry wieczór – powiedział. – Czy mam przyjemność z panem Nikiem Andersem?

Anders skinął głową. Nie podobało mu się to – wyczuwał kobietę, a widział mężczyznę. Stan emocjonalny gościa był bardzo trudny do odczytania, dominował strach, który można było wytłumaczyć tym, iż przybysz wiedział do kogo przyszedł; zabójcy czarownic boi się każdy. Jednak inne uczucia były zadziwiająco przytłumione, brakowało przede wszystkim zwykłej ciekawości człowieka uczciwego.

W tym momencie Anders odebrał uczucie ciekawości.

Żaden fachowiec nie da się nabrać na takie rzeczy. Spóźniona fala ciekawości stawia pod znakiem zapytania jej autentyczność. Anders zrozumiał, że to blef.

„Brakuje uczucia zadowolenia” – pomyślał. Była to z jego strony prowokacja.

Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu, gdy odebrał uczucie zadowolenia. Prawie natychmiast

zniknęło ono, ale było już za późno – Anders nabrał pewności, że ma przed sobą czarownicę. Czarownicę bardzo utalentowaną, ze zmysłem telepatycznym, ale... głupią. Dała się podejść w bardzo prosty sposób.

Wyciągnął rękę, ale działał zbyt wolno. Mężczyzna zdążył odwrócić się i uciekł w kierunku schodów. W momencie, gdy dotknął poręczy zamienił się w zgrabną blondynkę, która z dźwięcznym śmiechem zbiegła na dół. Anders nie gonił jej. To mogła być pułapka. W nocy wołał nie oddalać się od pomieszczenia obwarowanego magicznymi znakami.

Podszedł do telefonu i wywołał recepcję.

–Mówi Nik Anders z pokoju 411 – powiedział. – Czy pytał ktoś o mnie?

–Teraz nikt, ale...

–Wcześniej?

–Tak, po południu. Jakiś mężczyzna.

–Jak wyglądał?

–Ja... nie wiem. Rozmawiałam z nim przez telefon.

–O co pytał?

–Właściwie to o nic... – recepcjonistka umilkła na moment. – ...Chciał tylko wiedzieć czy pan tu mieszka.

–I powiedziała mu pani – skwitował Anders.

–Oczywiście – w głosie recepcjonistki zabrzmiało zdumienie. – Przepraszam, ale nie widziałam powodu...

–Jasne! – przerwał Anders. – Dziękuję pani – odłożył słuchawkę.

„Chyba jutro wyprowadzę się” – pomyślał. Nie bał się. Zbyt dużo czarownic widział już w swoim życiu i umiał sobie z nimi radzić, ale równocześnie wiedział o nich wystarczająco wiele, aby docenić niebezpieczeństwo. Jeżeli tylko jest to możliwe, należy unikać spotkania z czarownicą.

Zaczął przygotowywać się do snu, gdy ponownie ktoś zastukał do drzwi. Nie zapominając o ostrożności otworzył je. W progu stał mężczyzna. Ten sam co wcześniej. Tym razem jego sygnał telepatyczny był normalny – mieszanina lęku, zakłopotania i ciekawości.

–Dobry wieczór – powiedział przybysz skłaniając głowę. – Pan nazywa się Nik Anders?

–Proszę wejść – Anders otworzył szerzej drzwi. Uważnie obserwując nieznanego zrobił krok do tyłu. Nagle dotarł do niego sygnał wyraźnej niepewności. Spojrzał na podłogę, na której widniał wyrysowany kredą magiczny znak. Czyżby czarownica powróciła?

–Mam bardzo ważną i pilną sprawę – rzekł mężczyzna. – Może pan wyjść? W drodze wszystko wyjaśnię.

–Teraz...? – zdziwił się Anders. W zasadzie nie miał zastrzeżeń do telepatycznego odczytu, ale dlaczego mężczyzna nie chciał wejść do pokoju? Bał się magicznego znaku?

–Poczekam na pana w holu – powiedział nieznamy. – Bardzo się śpieszę.

–Chwileczkę! – Anders nastąpił na magiczny znak i gwałtownym ruchem chwycił mężczyznę za szyję. Ten krzyknął, a odczyt jego uczuć był jednoznaczny – tylko strach. Nie wyjaśniało to jeszcze sytuacji, więc Andres począł wciągać go do pokoju. Słało się:

–Nieeee! – rozległ się okrzyk rozpaczony i nagle Anders spostrzegł, że szamocze się z kobietą. Jej paniczny lęk przed przekroczeniem magicznego znaku wynikał z faktu, że była czarownicą.

Wtedy popełnił błąd, którego nie mógł przewidzieć: spojrzał dziewczynie prosto w oczy. I nagle opuściły go siły. Przekonał się, że jeszcze nigdy nie spotkał tak pięknej istoty, przez całe jego ciało przebiegły dreszcze, wzmagając uczucie oszołomienia. Wspaniałe oczy zdawały się zaglądać w głąb duszy, biorąc ją w swoje posiadanie, i choć nie zdołały zawładnąć umysłem, tajemniczą siłą zatrzymały wszelkie myśli zła. Anders opuścił ręce. Kobieta odwróciła się na pięcie i wybiegła na korytarz. Naraz zatrzymała się i spoglądając przez ramię na oniemiałego Andersa powiedziała:

–Nigdy nie staraj się mnie spotkać. Zapamiętaj to! W przeciwnym wypadku zabiję cię! – napotkała oczy Andersa i uśmiech, który jawił się na jej wargach – zgasł. Otworzyła usta i nagle jej twarz przybrała zaskakujący wyraz odzwierciedlający wewnętrzną walkę, i z nią działo się coś dziwnego. Szarpnęła gwałtownie głową, jakby zrywając niewidzialną nić łączącą ją z Andersem.

Gdy zbiegała po schodach, słyszał jej przeciągły krzyk:

–Nieeee...

Anders stał nieruchomo przed rozwartymi na oścież drzwiami i wpatrywał się w pusty korytarz. Wciąż był pod wrażeniem niezwyklej urody kobiety, której czar wtargnął w jego wnętrze; widział jej twarz i słyszał jej głos:

–...eee...

Głos, którego nie było.

Niemoc powoli ustępowała. Anders spostrzegł, że wciąż stoi na magicznym znaku. Ten symbol zawsze skutecznie chronił go przed wpływem zaklęć czarownic, i nie tylko jego. Każdego człowieka. Kto stał na magicznym znaku, tego nie miały się tajemne siły.

Ale tym razem stało się coś dziwnego. Na szczęście było już po wszystkim, lecz Anders doskonale pamiętał swoje wrażenia sprzed paru chwil. Wyraźnie znajdował się pod wpływem czarownicy.

A przecież stał na magicznym znaku.

Jak to możliwe?!

Był pod wpływem jakiegoś zaklęcia!

A przecież stał na magicznym znaku...

Było wykluczone, by istniała moc mogąca pokonać prawidłowo wykreślony znak.

Wszystkie znaki w pokoju Andersa były wykreślone prawidłowo.

Nagle poraziła go szalona myśl: nie działały na niego żadne czary, nie znajdował się pod wpływem żadnej siły. To mogło być zjawisko naturalne.

Absurd...?

Jedynym zjawiskiem naturalnym, które pasowało do sytuacji i które Anders mógł sobie wyobrazić, była miłość.

Oszołomiony odkryciem, podszedł chwiejnym krokiem do tapczanu i usiadł, bezwładnie opuszczając cały ciężar ciała. Zebrał myśli. Było prawdopodobne, że czarownica potrafiła rzucić na mężczyznę urok, wzbudzając w nim miłość do siebie. Pod warunkiem jednak, że mężczyzna ten nie będzie stał na magicznym znaku. Jedno wyklucza drugie, jak woda wyklucza ogień. Czy zatem możliwe jest naturalne pokochanie czarownicy? Anders odrzucał od siebie to pytanie, bo gdy słowo „czarownica” potraktuje się jak „kobieta”...

Nagle zadzwonił telefon. Anders podniósł słuchawkę.

–Tak...?

–Tu recepcja – usłyszał żeński głos. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale jest tu ktoś do pana. Mężczyzna. Tłumaczyłam mu, że jest późno, ale on nie chce odejść. Mówi, że ma pilną sprawę i musi się z panem zobaczyć. Zaraz.

–Jak się nazywa?

–Chwileczkę... – recepcjonistka zawahała się. Anders usłyszał przytłumiony odgłos rozmowy.

– Blend. Nazywa się Blend. Specjalnie przyleciał z układu Atora. Bardzo prosi o rozmowę. Zejdzie pan na dół?

–To jego pomysł?

–... Z czym?

–Z tym zejściem na dół.

–Tak. Tak zaproponował. Nie chce panu przeszkadzać.

–W nocy nigdy nie opuszczam pokoju.

–W takim razie...

–Dobrze – przerwał Anders. – Porozmawiam z nim. Proszę skierować go do mojego apartamentu.

Odłożył słuchawkę. „Blend” – po raz pierwszy słyszał to nazwisko. Czyżby czarownica była aż tak uparta?

Spostrzegł, że drzwi są wciąż otwarte, z tego wszystkiego zapomniał je zamknąć. Ale rozmowa z recepcjonistką pozwoliła mu ochłonąć. Znowu był sobą. Twardym, trzeźwo myślącym zabójcą czarownic.

Ledwie zatrzasnął drzwi, telefon zadzwonił powtórnie.

–Słucham – rzucił w słuchawkę.

–To jeszcze raz ja, z recepcji. Ten gość już idzie do pana. Dzwonię, bo przypomniałam sobie, że przed godziną pytał pan, czy ktoś może dowiadywał się o pana. To był chyba ten człowiek, poznałam go po głosie.

–Dziękuję bardzo...

–I jeszcze jedno. Nie chciałam tego przy nim mówić, ale wygląda tak jakby... dziwnie.

–Dziwnie? – Anders roześmiał się.

–No... podejrzenie.

–Proszę się nie obawiać – odparł Anders. – Mam przy sobie dwa granaty i karabin maszynowy.

Recepcjonistka zachichotała.

–To już nie będę przeszkadzała. Dobranoc.

–Dobranoc.

Anders wyjął z szuflady kredę i poprawił zamazany nieco magiczny znak przy drzwiach. Potem stanął przy wejściu i czekał. Za chwilę usłyszał pukanie.

–Otwarte! – krzyknął i w skupieniu rozeznał telepatycznie sytuację. Odczyt był pozytywny, ale w progu stał mężczyzna, którego twarz oglądał tej nocy już dwukrotnie.

–Dobry wieczór – powiedział nieśmiało przybysz. – Czy to pokój pana Nika Andersa?

Anders przyjrzał się nieznanemu. Oto trzeci raz w ciągu ostatniej godziny słyszał z tych samych ust prawie identyczne pytanie. Z tych samych, albo z *takich* samych.

–Zgadza się – odrzekł i powiedział najprostsze zdanie, które mogło mu wszystko wyjaśnić: – Proszę wejść.

Mężczyzna bez wahania przeszedł po magicznym znaku, a Anders nie odebrał nawet małej zmiany jego stanu emocjonalnego. Wszystko było w porządku. Wreszcie pojawił się człowiek, którego przybycie poprzedziła wizyta czarownicy. Dwukrotna wizyta. Musiało jej bardzo zależeć... na czym?

–Nazywam się Abejder Blend – przybysz przedstawił się. – Przybyłem z planety Chiropter w układzie gwiazdy Ator. Jestem przedstawicielem osady kolonistów i zostałem delegowany, aby prosić pana o pomoc.

–Czarownica? – wtrącił Anders.

Abejder Blend przytaknął z błyskiem w oczach.

–Dlaczego akurat ja? – zapytał Anders.

–Prawdę mówiąc, to przypadek. Szukałem kogoś, kto podjąłby się zabi... to znaczy...

–Zabicia czarownicy – podpowiedź była bezlitosna.

–... Właśnie. Pewni ludzie... przyjaciele... polecili mi pana. Podobno cieszy się pan dużą sławą.

–To prawda – przytaknął nonszalancko Anders. – Jako zabójca – owszem.

–Jako zabójca czarownic... – zaznaczył niepewnie Blend.

–Tak – Anders celowo prowokował swojego rozmówcę. Mimo wszystko, w odczycie telepatycznym jego uczuć była pewna drobna niejasność – jakaś zagadkowa obawa. Ale chyba nic poważnego z tego nie wynikało.

Usiedli na kanapie.

–Zanim w ogóle zaczniemy rozmowę o szczegółach – podjął Anders – muszę zapytać o pewien drobiazg. Jak wygląda wypłacalność pana i pańskich przyjaciół?

W tym momencie odebrał gwałtowne zachwianie stanu emocjonalnego Blenda. To było to – zabójca czarownic uśmiechnął się z niesmakiem – to była ta obawa.

Trywialna sprawa, nie są bogaczami. Anders wolał pracować dla ludzi bogatych, bo tacy mieli czym płacić za usługi.

Blend zwlekał z udzieleniem odpowiedzi.

–Konkretnie – ponaglił Anders. – Ile możecie zaoferować?

–Gdy opuszczałem Chiroptera – rzekł Blend – dostałem do dyspozycji kwotę czterystu pięćdziesięciu tysięcy lentów. Z tego sto trzydzieści pochłonęła podróż. Drugie tyle trzeba przewidzieć na powrót. Po odjeździe zostaje sto dziewięćdziesiąt tysięcy lentów. Jestem upoważniony do przelania tej sumy na pańskie konto – uniósł dumnie głowę.

Anders roześmiał się.

–Za ostatnią robotę dostałem półtora miliona – powiedział. Zapadła cisza. Blend poruszył się niespokojnie. Przymknął powieki i zamyślił się. Widać było, że jest bardzo zmęczony.

–To prawie wszystko co posiadamy – powiedział wreszcie. – Osadnicy na mnie czekają. Wierzą, że przyprowadzę kogoś, kto potrafi pomóc. Pan MUSI ze mną lecieć.

–Ja nie muszę robić niczego... prawie niczego...

Pomarszczona twarz Blenda upodobniła się kolorem do czystej kartki papieru. Zaciśnięte wargi odznaczały się czerwienią niczym pomalowane szminką. Powstał bez słowa i skierował się ku drzwiom.

–Chwileczkę – powstrzymał go Anders. – Nie powiedziałem: nie! Blend powrócił na swoje miejsce.

–Wiedziałem, że nie jest pan bez serca – powiedział szeptem.

–Nic pan nie rozumie – rzekł Anders. – Nawet nie wie pan, że ta czarownica uprzedza pańskie posunięcia.

Na twarzy Blenda pojawiło się zdumienie. Dziwne, ale Anders nie zauważył uczucia strachu. Blend nie bał się czarownicy.

–Pojawiła się przed panem I to dwukrotnie. Zagroziła nawet, że mnie zabije. W ogóle nie

rozumiem jak to się stało, że pana zostawiła w spokoju...

Ostatnie zdanie było trafieniem w dziesiątkę. Blend przygryzł wargę i zwieszając głowę powiedział:

–Nie lubię o tym mówić... Nie znałem swojej matki, ale wiem, że była złą kobietą. Jestem synem czarownicy i to zapewnia mi nietykalność.

–Wydawało mi się, że wiem o czarownicach wszystko – oświadczył Anders. – Ale przyznaję, że nigdy nawet nie słyszałem o czymś takim.

–Przypuszczam – dodał Blend – że nikt inny nie dotarłby do pana. Czarownica z Chiroptera jest przerażająco inteligentna i sprytna. Mimo młodego wieku posiada zadziwiające umiejętności.

–Zauważyłem to. O ile podczas pierwszej wizyty popełniła mnóstwo gaf, i pomyślałem nawet, że jest głupia, to za drugim razem nieomal dałbym się nabrać. Błyskawicznie się uczy. Czy wie pan w jaki sposób usiłowała mnie podejść? Pojawiła się w pańskiej postaci.

Blend zamarł na chwilę w bezruchu. Westchnął głośno; jego oddech drżał.

–Można się było tego spodziewać. Widziałem już kiedyś, jak zmieniała się w starą kobietę.

–To niezupełnie tak wygląda. Nawet czarownice nie potrafią czynić transformacji – wyjaśnił Anders. – Zjawisko polega po prostu na pewnego rodzaju hipnozie: czarownica sugeruje swój wygląd wybranemu człowiekowi. Ja widziałem ją jako pana, lecz w rzeczywistości wciąż była sobą, młodą kobietą. Zresztą, sztuczkę tę łatwo zdemaskować, gdyż hipnoza polega na koncentracji. Udało mi się rozproszyć czarownicę, stąd znam jej prawdziwy wygląd.

Ostatnie zdanie Anders wypowiedział powoli, można było odnieść wrażenie, że zapomniał o obecności Blenda i przekazuje je samemu sobie. Przed oczami stanęły mu delikatne rysy twarzy czarownicy. Widział jej postać, rozwiany włos, gdy mówiła mu: „Nigdy nie staraj się mnie spotkać...”. I jak zbiegała po schodach – spłoszona, lecz nie pokonana.

–Panie Anders! Panie Anders... – dotarł do niego głos Blenda. – Żle się pan czuje?

Otrząsnął się. Co się z nim dzieje? To ona. Musi ją pokonać!

–Nic mi nie jest – powiedział przytomnie. – Zamyśliłem się.

–Dlaczego czarownica pojawiła się właśnie w mojej postaci? – zapytał Blend.

–Teraz dopiero rozumiem, jakie to było mądre posunięcie – odrzekł Anders.

–Przede wszystkim chciała mnie zniechęcić do pana, może trochę przestraszyć... Można było oczekiwać, że po tych jej wizytach w ogóle nie będę chciał z panem rozmawiać. Choćby

dlatego, że uznaję pana za kolejne jej wcielenie. Słało się inaczej. Nie doceniła mnie, tak zresztą jak ja nie doceniłem jej.

Abejder Blend spojrzął na zegarek.

– Jest już późno, mam zamówiony start swojego statku na jutro, na godzinę jedenastą. Wolalbym, żebyśmy byli punktualni. Opłaty za parkowanie są bardzo drogie..., Oczywiście, o ile pan decyduje się lecieć ze mną?

– Tak – odparł Anders. – Zainteresowała mnie ta historia... i ta kobieta... – naraz zorientował się, że po raz pierwszy w życiu przyjął zlecenie nie znając właściwie szczegółów. A w dodatku na tak niską cenę zgodził się ostatnio przed wielu laty, gdy był jeszcze młody i niedoświadczony.

Wciąż zastanawiał się, czy to możliwe, by czarownica rzuciła urok na człowieka stojącego na magicznym znaku. Wolał nie wspominać przed Blendem o tym incydencie, wolał nie wspominać o nim nawet przed samym sobą.

– Skoro doszliśmy do porozumienia – podjął Anders rozpierając się na kanapie – proponuję, żeby opowiedział pan o waszych kłopotach. Zaraz, zanim się rozstaniemy. Trzeba dążyć do jasnych sytuacji.

– Oczywiście – przytaknął Blend. – Planeta Chiropter nie jest rajem, ale, co by nie mówić, jest dobrym miejscem na rozpoczęcie nowego życia dla takich ludzi jak ja i moi towarzysze – nie mających nic prócz bezzwrotnego dofinansowania od rządu popierającego akcje kolonizacyjne. Jest nas dwustu trzydziestu czterech. Na Chiropterze osiedliliśmy się jakieś dwa lata temu. Znajdowała się tam stacja naukowo-badawcza, ale była nią tylko z nazwy, gdyż nie posiadała obsługi. Jednym, z warunków rządu oddającego nam Chiroptera było prowadzenie w niej badań zgodnych z jej przeznaczeniem. Nic specjalnie trudnego – zwyczajne statystyczne spostrzeżenia dotyczące klimatu, flory, fauny itp... Przyznam, że bardzo nas dziwiła ta pusta baza, wybudowana z rozmachem i posiadająca wszelkie wygody, lecz nieużytkowana. Nie wnikaliśmy jednak w szczegóły, ponieważ warunki i tak były bardzo dogodne.

Wokół bazy zbudowaliśmy osiedle. Urządziliśmy się całkiem nieźle, podniecał nas posmak przygody i świadomość, że jesteśmy pionierami, a przyszłe pokolenia potraktują nas – być może – jak bohaterów. To jest naprawdę wspaniałe uczucie, gdy robi się coś, co tworzy podwaliny przyszłości i przetrwać może przez tysiąclecia.

Czekała nas jednak wielka niespodzianka. Okazało się, że na Chiropterze żyła samotnie kobieta. To było niesamowite – sama jedna na olbrzymiej planecie. Nic o niej nie wiedzieliśmy i niczego nie mogliśmy się dowiedzieć, gdyż unikała kontaktu z kimkolwiek z nas. Brzmi to jak baśń.

Pewnego dnia, zupełnie nieoczekiwanie coś się zaczęło psuć w naszej wspaniale zapowiadającej się przygodzie. Najpierw masowo zaczęły wymierać nam zwierzęta domowe.

Był to straszny cios, ponieważ szybkie odnowienie inwentarza było – wobec oddalenia od planet cywilizowanych – praktycznie niemożliwe. Miejscowa fauna na razie nie dawała się oswoić. Nie dopracowaliśmy się jeszcze mutacji roślinnych gwarantujących obfite plony, zresztą wkrótce nawet nasze nędzne poletka nawiedziła jakaś nieznama zaraza. Wszystko to bez żadnej logicznej przyczyny. Zaczęliśmy obawiać się głodu. Gdy zaczęły chorować dzieci, niektórzy spośród nas zaczęli myśleć o powrocie. Straszne było to, że nie wiedzieliśmy dlaczego tak nagle odmienił się nasz los.

Alarmowaliśmy o pomoc, rząd jednak jak gdyby o nas zapomniał. Wreszcie przyleciał, pewien człowiek, jak się okazało wysłano go, gdyż zaniedbaliśmy badań. Od niego dowiedzieliśmy się prawdy: kobieta, która żyła tu samotnie była czarownicą i właśnie jej zaklęcia okazały się przyczyną klęsk. Na Chiropterze pojawiła się jeszcze przed naszym przybyciem, gdy bazę naukowo-badawczą obsługiwała kilkudziesięciosobowa specjalistyczna ekipa. Ludzie ci szybko ugięli się przed mocą czarownicy i wkrótce nikt już nie chciał pracować na Chiropterze, szczególnie po tym, gdy zdarzyły się dwa śmiertelne wypadki. Trudno powiedzieć czy zawiniła tu czarownica, w każdym razie zostały zapisane one na jej konto. Paradoksalne, iż jej właśnie zawdzięczamy, że rząd zrezygnował z tej planety i przekazał ją w nasze ręce.

Cóż dalej? Wszystko jest chyba jasne... Nie chcemy opuszczać Chiroptera, tu jest nasze życie, nasza nadzieja. Wszystko co posiadamy i co cenimy znajduje się na tej planecie. Nie możemy teraz poddać się i po prostu odejść, jak zrobili to naukowcy, ale walka z czarownicą wydaje się rzeczą beznadziejną, ponad nasze siły. Ta kobieta udowodniła nam swoją przewagę w dniu, gdy zawładnęła umysłem i duszą dziewięcioletniej dziewczynki. Straszne... nie rozumiem jak coś takiego w ogóle jest możliwe... to dziecko wyrzekło się swoich rodziców i całej naszej społeczności. Mieszka razem z czarownicą i nie ma sposobu, by sprowadzić je z powrotem... Matka dziewczynki popełniła samobójstwo. Był to pierwszy śmiertelny wypadek w naszym osiedlu, na razie jedyny, ale...

To potworne wydarzenie bardzo nami wstrząsnęło i przyspieszyło podjęcie decyzji; tylko śmierć czarownicy może nas uwolnić. Ale sami nie jesteśmy w stanie z nią walczyć, na to potrzebny jest ktoś o wyjątkowych zdolnościach, zawodowiec potrafiący dokonać rzeczy niemożliwej... Nie mówię tego, aby panu schlebiać. Taka jest prawda... jeżeli pan przegra, przegrają wszyscy koloniści.

Anderson słuchał opowieści Blenda schowawszy twarz za podpierającą czoło dłonią. Oczy miał zamknięte. Równocześnie słuchał i analizował fakty. Walka z czarownicą nigdy nie bywała szablonem, ale ten przypadek zdawał się wypadać z jakichkolwiek ram. Każda czarownica szkodzi ludziom, lecz nigdy nie do tego stopnia, aby groziła jej samotność. Działanie przeciw człowiekowi jest podstawą jej egzystencji, jakież zatem sens miałoby dążenie do wypędzenia wszystkich ludzi? Czy nie byłby to swoisty rodzaj masochizmu? A w przypadku czarownicy z Chiroptera wydarzenia zdawały się zmierzać właśnie ku takiej absurdalnej sytuacji; mieszkała samotnie przed przybyciem kolonistów i chce być sama nadal. Dlaczego? Czyżby nie była czarownicą? Bzdura! Widział ją, bała się magicznego znaku... Więc co? Cóż znaczy czarownica bez ludzi...?

– Fascynująca historia – powiedział Anders i naraz zrobiło mu się przykro, że określił takim banalnym słowem tragedię Blendy i jego towarzyszy. – Czy próbowaliście sami zabić czarownicę?

– Tak – odrzekł Blend. – Zaraz po tym, gdy zabrała nam tę dziewczynkę. Ktoś z nas przypomniał sobie o legendzie palenia czarownic żywcem na stosie. Byliśmy tak wzburzeni, że nie wahaliśmy się ani chwili.

– To bardzo dobry sposób – myślę o paleniu na stosie – zauważył Anders.

– Ale niestety praktycznie niewykonalny dla kogoś, kto nie wie jak się do tego zabrać. Czarownica potrafi wymknąć się nawet dużej gromadzie ludzi.

– Tak też się stało. Nie zdołaliśmy nawet odzyskać dziewczynki.

Anders wstał z kanapy.

– Na razie wystarczą mi te informacje – powiedział. – Muszę wszystko dokładnie przemyśleć. Na jakim kosmodromie znajduje się pańska rakietka?

– W Toczont.

– A więc spotkamy się jutro o ósmej.

– Bardzo panu dziękuję – Blend uścisnął rękę Andersa. Jego zmęczona twarz wypogodziła się.

– Taki jest mój zawód – odparł sztywno Anders. Nie lubił żenujących sytuacji.

– Panie Blend! – krzyknął za wychodzącym.

– Tak? – Blend odwrócił się.

– Wcześniej wspominał pan coś o moim sercu. Wyjaśnijmy to do końca – ja jestem bez serca. Inaczej nie byłbym zabójcą.

* * *

W Toczont znajdowało się lotnisko samolotowe, natomiast sam kosmodrom – choć utożsamiany nazwą – mieścił się czterdzieści kilometrów od tej miejscowości. Ten odcinek drogi musieli przebyć wynajętym samochodem.

Była piękna pogoda, a wysokie ciśnienie atmosferyczne powodowało dobre samopoczucie. Napawające optymizmem.

Za kierownicą siedział Abejder Blend. Rozparty na drugim siedzeniu Anders bez troski przyglądał się mijanej okolicy. Nie jechali szybko, mieli jeszcze prawie dwie godziny czasu.

–Wczoraj powiedział pan, że jest synem czarownicy – zagadnął Anders. – Bardzo mnie to zaintrygowało.

–Przyniosło mi to więcej kłopotów niż korzyści – odparł Blend obserwując uważnie szosę. – Szczególnie gdy byłem chłopcem...

–Ale żadna czarownica nie uczyni panu nic złego. Tak, zdaje się, pan to określił.

Blend westchnął i uśmiechnął się smutno.

–To pomyłka – powiedział. – Źle mnie pan zrozumiał. Nie chroni mnie żadna nadprzyrodzona siła, prawda nie jest aż tak tajemnicza. Po prostu jako potomek czarownicy noszę w genach określony kod informacyjny. Moja córka może go odziedziczyć, ale ja nigdy nie dopuszczę do tego. Dlatego nie mam i nie będę miał dzieci... Czarownice jakimś niepojętym sposobem rozszyfrowują moje pochodzenie i pozostawiają w spokoju, bez względu na to co robię. Zresztą, w swoim życiu spotkałem się z nimi tylko trzy czy cztery razy.

Anders słuchał bardzo uważnie. Każda nowa informacja o zwyczajach czarownic mogła się przydać w jego zawodzie.

–Jak to się stało, że mimo tego wszystkiego jest pan wrogiem czarownic? – zapytał.

Blend zerknął przez ramię, po czym wyjął ściereczkę i przetarł przednią szybę, chociaż wydawała się ona czysta.

–Wychował mnie ojciec – odparł. – Bardzo kochał matkę. Dopiero gdy była w ciąży dowiedział się kim była naprawdę. Nigdy za wiele o tym nie mówił, ale wiem, że dla niego były to ciężkie chwile. Należał do ludzi prostolinijnych, a pokochał kobietę stworzoną do czynienia zła... Matka umarła przy porodzie. Przykro tak mówić, ale było to dla mnie szczęśliwe...

Anders nie przerywał chaotycznej nieco opowieści Blendy. Najbardziej uderzył go jeden szczegół: zdarzyło się już, że zwykły śmiertelnik pokochał czarownicę. W tym świetle wczorajsze wydarzenia nabrały odmiennego znaczenia. Znowu ożyła w jego wyobraźni kobieca postać.

„Czy to możliwe?” – wciąż takie samo pytanie. Trzeba znaleźć na nie odpowiedź, rozwiązać zagadkę ludzkiej psychiki, i chyba to powoduje, że jedzie teraz z Blendem; nie pieniądze, nie serce.

–Ojciec nigdy już nie był szczęśliwy – kontynuował Blend. – Nie mógł zapomnieć o matce. Nie wierzył, że jego miłość mogła być wymuszona czarem, że wszystko można zniszczyć innym zaklęciem. Był przekonany, że darzył ją prawdziwym uczuciem i to jeszcze bardziej go przygnębiło...

Słowa Blendy docierały do Andersa jak odpowiedzi na pytania, które pojawiały się w jego

mózgu. Odpowiedzi niejasne, budzące nowe wątpliwości, ale jednak odpowiedzi. Był jak dziecko, dla którego każda odpowiedź rodzi nowe pytanie.

–... Gdy miałem dwanaście lat, ojciec umarł – mówił dalej Blend. – Od tej pory żyję na własny rachunek. Różnie mi się układało, na ogół niezbyt szczęśliwie, dopiero na Chiropterze odnalazłem samego siebie. W sumie krótko przebywałem na tej planecie, ale łączy mnie z nią trudna do określenia więź... tam jest moja ojczyzna, moi przyjaciele... Trzeba to ratować bez względu na cenę...

Nagle Anders wyczuł w powietrzu jakieś groźne fluidy. Jego zmysł telepatyczny ledwo zdążył zarejestrować niebezpieczeństwo – a już było za późno. Samochód pędzący z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę błyskawicznie zbliżał się do centrum sygnałów agresji.

Z pobliskich zarośli wyprysnęły widoczne nawet przy dziennym świetle ogniste smugi. Huk wystrzałów zlał się z piskiem opon i trzaskiem łamanej karoserii. Samochód przeokoziółkował, wtoczył się do rowu i zatrzymał na ścianie krzaków. Brzdęknął jeszcze opadający kawałek blachy, po czym zapadła cisza; tak zupełna, jakby umarł cały świat.

Anders otworzył oczy. Nad nim wisiał kawałek błękitu – to niebo zagłądało przez rozbitą szybę.

Stwierdził, że leży na tylnym siedzeniu, przysypany trudnymi do zidentyfikowania odłamkami. Poruszył się i wtedy całe jego ciało przeszył potworny ból. Przełamał go. Z wysiłkiem podgiął nogi; uniósł ręce. Był cały, potłuczony, ale cały. Ponownie zamknął oczy i skupił się na odczycie sygnałów zewnętrznych. Docierało do niego wiele przemieszanych stanów emocjonalnych, wskazujących, iż w pobliżu znajduje się kilku ludzi, ale spośród nich wybijał się jeden; krzyczał bólem i męką. Beznadziejnością.

Pomocy!

To musiał być Abejder Blend.

Anders podniósł się, pokonując niemoc własnego ciała. Spostrzegł, że przednie siedzenie zmieniło swoją pozycję – oparcie leżało niemal poziomo, a nad nim wisiał wepchnięty do środka przód samochodu. W utworzonej w ten sposób szczelinie tkwiło ciało mężczyzny, chociaż wydawało się niemożliwe, by mogło zmieścić się tam choćby dziecko. Odbierany przez Andersa sygnał wskazywał, że Blend żyje.

Nagle przy samochodzie pojawiło się kilku mężczyzn. Jeden z nich po krótkiej szarpaninie zdołał otworzyć pogiete samochodowe drzwi. Zajrzał do środka, trzymając w wyciągniętej ręce rewolwer. Jego oczy spotkały się z oczami Andersa; zmarszczył brwi i naraz twarz wykrzywił mu wyraz przestachu i niedowierzania. Gwałtownie cofnął się.

–Czy pan... nazywa się... Anders? – zapytał wykrzykując niemal nazwisko. Opierając się na odczycie telepatycznym, Anders zdecydował nie ukrywać swojej tożsamości. Przytaknął.

Nieznajomy wyskoczył z rozbitego samochodu.

–Chłopaki! – krzyknął rozpaczliwym głosem do swoich towarzyszy. – Co myśmy narobili?! To Anders!

Upłynęła dłuższa chwila, nim któryś z mężczyzn zapytał:

–Zabójca czarownic?

–Widziałem go kiedyś na wiecu w Bonon. To z pewnością on. O rany! Co myśmy najlepszego zrobili?!

–Dość! – krzyknął Anders. – Lepiej wyciągnijcie mnie z tego wraka.

Mężczyźni pomogli Andersowi wydostać się z samochodu.

–Nie chcieliśmy tego – powiedział ten, który go rozpoznał. – Nie mieliśmy pojęcia, że to pan.

–Jak się nazywasz?

–Ramos.

–Porozmawiamy o tym później, Ramos – rzekł Anders. Dzięki swemu telepatycznemu darowi wiedział, że usłyszał prawdę; kłamstwo wywołuje zaburzenia odczytu, które tu nie wystąpiły. – Najpierw pomóżcie mojemu towarzyszowi. Źle z nim, ale żyje.

Położyli Blenda na murawie. Bardzo krwawił. Anders rozpiął mu podarła koszulę i stwierdził złamanie kilku żeber. Wyglądało to paskudnie.

Naraz Blend otworzył oczy. Jego spojrzenie było zupełnie przytomne. Wpatrywał się w pochylonego nad nim Andersa z taką natarczywością, jakby chciał przekazać mu coś niezwykle ważnego. Poruszył wargami, lecz nie zdołał wykrztusić słowa. Anders nie umiał rozszyfrować tego sygnału. Odbierał wielką pustkę z jednym tylko zaburzeniem, niezłomną wolą czegoś, prośbą i rozkazem równocześnie. Błaganie połączone z nienawiścią.

„Czego chcesz?”

Nagle w powietrzu zawisł przeciągły grzmot; odległy i przytłumiony, lecz zdający się nie mieć końca. To z kosmodromu startowała rakietą. Z kosmodromu, do którego zdążali, ale który nagle stał się nieosiągalny.

Usłyszał go również Abejder Blend, i wtedy jakaś niewytłumaczalna siła wtargnęła w jego ciało; graniczący z cudem zastrzyk energii. Usta przestały mu drgać, a oczy rozwarły się szeroko.

–Nie zapominaj... – powiedział chrapliwym głosem. – Tylko ty... Musisz im pomóc!

Jego wola była tak potężna, że napięty do granic wytrzymałości zmysł telepatyczny Andersa nie wytrzymał naporu. Człowiek, który swoimi czynami zasłużył na miano zabójcy czarownic upada zemdlony. Pokonał go cios odwagi i... TAK! I miłości!

Gdy Anders ocknął się, Abejder Blend był już tylko ciałem. Jego dusza zdążyła do krainy śmierci. Anders zrozumiał jak bliski stał się mu ten nieznany prawie człowiek. Łączył ich wspólny los; obaj przez całe swoje życie związani byli z czarownicami – każdy w inny sposób, ale obaj dla tego samego celu. Walka z nienawiścią i złem.

„Musisz im pomóc!”

Musisz pomóc samemu sobie.

–Proszę nam wybaczyć – odezwał się Ramos. Jego trzech towarzysze przez cały czas milczeli.
– Skąd mogliśmy wiedzieć, że to pan jedzie tym samochodem? Całe szczęście, że wyszedł pan z tego cało.

–Ten człowiek był ważniejszy niż ja – odparł Anders. – A wy kim właściwie jesteście?

–Wynajął nas pewien mężczyzna. Dobrze zapłacił i polecił ostrzelać pański samochód.

–To jest wóz z wypożyczalni.

–Czekaliśmy na wiadomość w budce telefonicznej na rogatkach Toczont. Ten mężczyzna zadzwonił i podał numer rejestracyjny samochodu, powiedział, że w środku będzie siedziało dwóch ludzi, którzy muszą umrzeć... – Ramos dopiero teraz spostrzegł, że wciąż trzyma w ręku rewolwer. Wetknął go za pasek spodni.

–Jak nazywa się ten mężczyzna?

–Ja... nie wiem. To Bystry z nim rozmawiał. Bystry! Kto to był ten facet?

Mężczyzna nazwany Bystrym wzruszył ramionami.

–Widziałem go po raz pierwszy w życiu, nawet nie wiem, kto go do mnie skierował... Miał dużo forsy i jeździł kapitalnym samochodem z szoferem. Takim gogusiem w czapce i czerwonymi lampasami na spodniach. Ale ten wóz nie należał chyba do niego, bo do szofera mówił „pan”.

–Marka tego samochodu, numer rejestracyjny – rzucił Anders.

–Nie wiem... – Bystry pokręcił głową. Numeru nie pamiętam, nie przyglądałem się, a co do marki... nigdy nie widziałem takiego wozu, może robiony na zamówienie?

–Dobra – Anders niewiele się dowiedział, ale i te wiadomości mogły mu się przydać. – Która jest godzina? – zapytał.

–Dwadzieścia po dziesiątej.

–Pomożecie mi? Najpóźniej za piętnaście minut muszę być na kosmodromie.

–Jasne! – wyraził gotowość Ramos. Jego towarzysze przytaknęli. – Za tymi krzakami stoi nasz samochód.

–A co z nim? – Anders wskazał na ciało Blenda.

Ramos zawahał się. Potrząsnął głową.

–Nie zmieści się, musi tu zostać. Zaraz powinien przejeżdżać jakiś samochód... zresztą, możemy zadzwonić po pogotowie z kosmodromu.

–To nie wchodzi w rachubę – zdecydował Anders. – On musi jechać ze mną. Mam zamiar zabrać go do jego ojczyzny.

I ani przez chwilę nawet przez myśl mu nie przeszło, że nie musi robić niczego.

Chiropter to dzika planeta.

Obszary, na których cywilizacja nie odcisnęła jeszcze swojego piętna, człowiek zwykł nazywać dzikimi, obojętnie czy są one piękne, czy smutne i nieprzyjazne. Jedna baza naukowa i skupiona wokół niej mała kolonia, nie uczyniły jeszcze Chiroptera prowincją Ziemi, ale służyły się zaczątkiem nowego. Przygody, którą warto przeżyć, władzy, o którą warto walczyć. Wszystko po to, aby móc powiedzieć: „- To moje, tu żyję i tu umrę”.

Trzeba ogromnego hartu ducha aby budować nowy świat; i zapału. Ludzie, którzy nie znaleźli szczęścia w swoich rodzinnych stronach, szukają go na obcej ziemi, i często nieważne jest nawet czy je znajdują; poszukiwanie też bywa szczęściem.

Chiropterski kosmodrom mieścił się zaledwie o kilkanaście kilometrów od stacji naukowo-badawczej. Był zaniedbany i chociaż sama płyta startowa pozostawała w dość dobrym stanie, to baraki na obrzeżach wymagały gruntownego remontu. Tym bardziej, że las chciał odzyskać stracony teren i na pierwszy ogień wybrał właśnie te prowizoryczne budowle.

Nik Anders wylądował bez kłopotów. Odczekał, aż spadnie temperatura osłon ablacyjnych statku i zmaleje promieniowanie płyty kosmodromu, po czym zebrał się do wyjścia. W luku wyjazdowym znajdował się terenowy samochód, z którego zamierzał skorzystać. Wyniósł z chłodni foliowy worek z ciałem Abejdera Blenda i umieścił go na tylnym siedzeniu. Mimo rękawic ręce skostniały mu od zimna – temperatura w chłodni wynosiła minus trzydzieści stopni Celsjusza.

Otworzył luk i uruchomił mechanizm trapu; gdy opadł, zjechał po nim na płytę lądowiska. Na kosmodromie nie było nikogo, mimo że przed lądowaniem Anders rozmawiał z kolonistami

przez radio.

Podjechał do skraju kosmodromu, przystanął i rozejrzał się. Nie miał mapy, a trzeba było odnaleźć drogę. Kierunek znał, bo zanim wylądował, obserwował okolicę przez ekran iluminatora, ściana lasu wydawała się nie do przebycia, nie zauważył żadnej wycinki. Ruszył. Posuwając się wolno wzdłuż prowizorycznego ogrodzenia wciąż obserwował teren. Wreszcie dotarł do niskiej bramy; od niej prowadziła droga, która kilkadziesiąt metrów dalej skręcała w las. Zdecydował, że pojedzie w tym kierunku.

Gdy minął zakręt, jego oczom ukazał się zaskakujący obraz: na drodze stało kilkunastu ludzi. Byli zbyt daleko, aby mógł odczytać ich uczucia, ale gotów był założyć się, że przeważa w nich agresja. Byli uzbrojeni. Za nimi stała wielka, nakryta plandeką ciężarówka, której światła – mimo dnia – pozostawały włączone.

Anders zatrzymał samochód i wyskoczył na drogę. Uniósł w górę obie ręce. Po chwili namysłu odpiął pasek spodni i wymownym gestem odrzucił go daleko od siebie. Nie miał broni, ale uznał, że taka demonstracja wzbudzi zaufanie. Jeszcze raz podniósł ręce, po czym bez pośpiechu wsiadł do samochodu. Rozparł się na tylnym siedzeniu, wyjął ze skrytki paczkę papierosów. Zapalił. Przymknął oczy i czekał. Minęła może minuta, gdy jego zmysł telepatyczny odebrał pierwszy odczyt; nie był zbyt przyjazny, ale nie nosił w sobie morderczych pierwiastków. Raczej obawę i podniecenie ciekawością.

Anders otworzył oczy dopiero, gdy odczyty zaczęły mieszać się ze sobą, co wskazywało na bliskość wielu ludzi. Obok samochodu zobaczył silnie zbudowanego mężczyznę w brązowej, skórzanej kurtce, który widząc, że został zauważony jakby się trochę przestraszył. Ale nie zrobił ani kroku w tył. Tylko mocniej ścisnął tkwiący w prawej dłoni rewolwer.

–Witam – rzekł do niego Anders. – Przybyłem w przyjaznych zamiarach. – Zaciągnął się papierosowym dymem, otworzył drzwiczki i po raz drugi wysiadł z samochodu. Wyciągnął rękę na przywitanie.

Mężczyzna w skórze po chwili wahania przełożył rewolwer i uściśnął podaną dłoń, lecz jego twarz nie zmieniła wyrazu.

–Kim jesteś? – zapytał.

–Nazywam się Nik Anders. Zabójca czarownic.

Mężczyzna spojrzawszy znacząco na tłumok zajmujący tylne siedzenie samochodu, Tajający szron na plastikowym worku, nie był w stanie ukryć jego zawartości.

–Przywiozłem ciało Abejdera Blenda – powiedział Anders.

Nieznajomy wzdrygnął się, a kilku stojących za nim towarzyszy uniosło w górę automatyczne karabinki, Przez chwilę stali tak wszyscy w bezruchu. Nagle jeden z mężczyzn przyskoczył do

Andersa, odepchnął go brutalnie i pochylił się nad ciałem Blenda. Wyciągnął z kieszeni nóż i rozciął worek. Rozdarta folia odsłoniła zmarzniętą, martwą twarz.

–To Abejder! – mężczyzna krzyknął przeraźliwie. – Abejdeer!

Gdzieś w lesie echo powtórzyło imię, które, odbijając się między pniami drzew, w końcu wróciło na drogę. Tylko imię; nic nie wróci życia człowiekowi, który je nosił.

Anders do późnej nocy wertował książkę zapisów badań naukowych prowadzonych na Chiropterze. Szczególnie interesował go okres poprzedzający pojawienie się czarownicy. Jeszcze nie był pewien, ale wydawało mu się, że wpadł na trop, który pozwoli mu rozpocząć równorzędną walkę z kobietą działającą na szkodę kolonistów. Jak na razie – osiągnął niewiele, chociaż na Chiropterze przebywał już ponad tydzień. Sprawa zaczynała się przeciągać, a on wciąż tkwił w prawie zerowym punkcie. Wszystkie sztuczki i pułapki, jakie znał, a które prowokowały czarownice do konfrontacji, nie odnosiły tutaj skutku. Kilkakrotnie robił wypad, nawet w nocy, instruował osadników i szli wszyscy razem, obwarowani magicznymi znakami, próbował w pojedynkę – i nic. Zawsze przybywał za późno. Czarownica była w miejscach, które typował, lecz za każdym razem zdołała w porę wymknąć się, i to na tyle wcześnie, że nawet zmysł telepatyczny Andersa nie zdołał podać kierunku jej ucieczki. Rozumiała, że spotkanie z zabójcą może być dla niej kresem życia.

Ale powinna również zrozumieć, że w końcu musi dojść do spotkania. I do walki. Dlaczego zwleka tak długo? Ma przecież przewagę Mocy. Mocy Zła. Tymczasem on atakował, a ona stosowała uniki. Wciąż uniki. Jak długo jeszcze? Anders czuł, że powodem takiego zachowania jest przyczyna, dla której chciała opanować tę planetę. Ale była to przyczyna nieznaną.

–Cholerny świat! – zaklął Anders.

„Nieznana przyczyna”.

Jak to możliwe, aby czarownica postępowała wbrew własnym zwyczajom? Przecież musi mieć w tym jakiś cel... Anders wielokrotnie analizował jej postępowanie, ale wciąż układał te same pytania. Dlaczego osiedliła się na Chiropterze? Planeta jest praktycznie bezludna – nawet teraz, gdy przebywają na niej koloniści. A wcześniej było tu zaledwie kilkudziesięciu naukowców. Czarownice zawsze trzymają się ludzkich skupisk, gdzie mogą działać zgodnie ze swym charakterem i przeznaczeniem. Chiropter wydawał się ostatnim miejscem, jakie można wybrać, gdy jest się czarownicą.

A najważniejsze: dlaczego tak brutalnie dąży do zupełnego wyniszczenia kolonistów? Anders przekonał się, że jest rzeczywiście tak, jak mówił Abejder Blend. Koloniści żyli w skrajnej nędzy. Czarownica wyraźnie chciała, aby opuścili tę planetę. Dlaczego? Przecież bez nich jest niczym – jak światło w próżni. Istnieje, lecz nic z tego nie wynika. Tylko człowiek może o drugim powiedzieć: jesteś złym. Samotnie nie jest się ani złym, ani dobrym.

Gdy jesteś sam, to jakby ciebie nie było.

Nagle Anders wzdrygnął się. Wcześniej określił przybliżony termin pojawienia się czarownicy na Chiropterze – było to na rok przed przybyciem kolonistów – i oto teraz stwierdził, iż niecały miesiąc przed tym dokonano dość ważnego odkrycia geologicznego, o którym nikt z kolonistów jakoś nie mówił. Czyżby nie wiedzieli? Na to wyglądało, zresztą zapis był lakoniczny, świadczący, że jego twórca nie przywiązywał do niego większej wagi.

Ale było napisane – czarno na białym – „URAN”.

Mógł istnieć ktoś, dla kogo miało to olbrzymią wagę.

Nazajutrz Anders wstał wcześniej. Spał krótko, lecz nowe fakty popychały go do działania. Najpierw zawiadomił Clauda, aby przygotował do drogi śmigłowiec.

Claud był tym mężczyzną w brązowej skórze, z którym rozmawiał zaraz po wylądowaniu. Wiele mu zawdzięczał, bo koloniści, wzburzeni śmiercią Abejdera Blenda, nie dowierzali słowom Andersa i wtedy, przy lądowisku, gotowi byli go zabić. Kto wie, jak by się to skończyło, gdyby nie rozsądek Clauda, który rozkazał przeszukać raketę i gdy nie znaleziono niczego podejrzanego, przywołał swoich towarzyszy do porządku. Na szczęście znalazł posłuch.

Jak do tej pory, Anders nie zdobył pełnego zaufania osadników. Wiele szkody przyniosło mu ponowne pojawienie się czarownicy tuż przed jego przylotem. Bo – jak należało się spodziewać – nikt nie widział jej od czasu odlotu Blenda, kolonistom zaczęło się nawet lepiej powodzić, aż tu nagle znowu! Trudno było wyjaśnić im, że przez cały czas nieobecności kontrolowała poczynania Blenda i z pewnością powróciłaby, niezależnie od postępowania Andersa.

–Możemy jechać – do pokoju wszedł Claud. Miał zatroskaną twarz i Anders odczuł, że troska dominuje również w jego stanie uczuć.

–Co się stało?

–Nic. Możemy jechać – powtórzył Claud.

Wyszli z budynku. Na dziedzińcu słała ciężarówka, do której kilku ludzi ładowało bagaże. Pracowali mężczyźni, kobiety i dzieci. Anders zrozumiał, że jest to przeprowadzka. A mówiąc konkretniej: ucieczka z Chiroptera. Pierwsi, którzy nie wytrzymali trudów.

–Ilu ich jest? – zapytał.

–Dwudziestu trzech. Dziewięć rodzin. Gdyby nie czarownica, zostaliby.

Anders zacisnął pięści. Był bezradny. Działał zbyt wolno.

–Zatrzymaj ich. Daj mi jeszcze kilka dni.

–To na nic – odparł Claud. – Nie mogę dopuścić do konfliktów. To by nas dobiło.

W milczeniu podeszli do śmigłowca. Anders ułożył na bocznym siedzeniu walizeczkę z licznikiem Geigera i sprawdził zawartość pojemnika z prowiantem. Byli gotowi do drogi.

Claud siadł za sterami. Włączył silniki.

–Nie pożegnasz się z nimi? – zapytał Anders spoglądając na pracujących przy ciężarówce ludzi.

–Wczoraj powiedzieliśmy sobie wszystko. Nawet słowa pożegnania – głos Clauda brzmiał ochryple. Usiłował zamaskować wzruszenie. Nie wiedział, że dzięki swemu telepatycznemu darowi, Anders czytał w jego uczuciach jak w otwartej książce. Uczucia to nie myśli, ale ich znajomość wystarcza, aby poznać człowieka. A przy osiągnięciu wprawy – nawet przewidzieć jego zamiary. Tylko dlatego Anders mógł być zabójcą czarownic. Swój dar przeciwstawił Mocy Zła i – jak dotąd – wygrywał. Ale za każdym razem stawiał na szalę swoje życie, bo dla czarownic „miłość” to słowo abstrakcyjne.

Nikt na świecie nie wiedział o telepatycznym zmyśle Andersa, nikt... I nagle Anders zdał sobie sprawę, że istnieje jednak ktoś, kto prawdopodobnie orientuje się w jego możliwościach – czarownica z Chiroptera! Pamiętał pierwszą z nią rozmowę. Uczyla się szybko, bo sama również posiadała podobny dar. Skoro on ją rozszyfrował, to logika wskazywała, że ona jego również.

„A może jest lepsza?” – Andersa przeszły dreszcze. Nie wiedział czy jest to strach, czy podniecenie. – „Może czyta nie tylko uczucia, ale i... myśli!”

Obawiał się, że niewiele jest na świecie rzeczy, które byłyby do końca niemożliwe.

Lecieli na południe. Anders co pewien czas sprawdzał z mapą kierunek. Czerwonym flamastrem zaznaczył punkt do którego zdążali – miejsce dawnych badań geologicznych.

Z zainteresowaniem obserwował nieznaną okolice i musiał przyznać, że Chiropter jest piękną planetą. Zupełnie odmienną od Ziemi, lecz równie wspaniałą. Zasługującą na to, by ją kochać.

–Ilana! – krzyknął nagle Claud.

Anders spojrział na niego ze zdumieniem. Nie rozumiał tego słowa. Claud wpatrywał się z napięciem w jakiś punkt na powierzchni ziemi. Dążąc za jego wzrokiem, Anders spostrzegł ludzką sylwetkę. Gdy przyjrzał się dokładniej, rozpoznał, że jest to dziewczynka.

–Ilana! – powtórzył Claud. – Kilka miesięcy temu porwała ją czarownica. To było straszne...

–Wiem – przerwał Anders. – Mówił mi Blend.

Dziewczynka biegła. Machała ręką w ich kierunku, ale zbliżała się do lasu.

Helikopter zakołysał się.

–Co robisz?! – krzyknął Anders.

–Trzeba lądować. Ona nas woła!

–Stój! Nie wierzę temu. Nie znasz terenu.

–Ląduję.

–Claud! Opamiętaj się! Dobrze znam czarownice, to pułapka – Anders chwycił pilota za ramię. Ten odtrącił jego rękę.

–Przecież nie mogę jej tak zostawić – powiedział.

–Poczekaj! Sprowadź śmigłowiec nad powierzchnię ziemi i wyrzuć drabinkę. Zejdę i wyszukam miejsce dogodne do lądowania.

Ilana zatrzymała się kilkanaście metrów przed ścianą lasu. Znowu pomachała ręką. Wyraźnie ich przywoływała.

Anders schodził po drabince. Wiatr wytwarzany przez śmigło miotał nim na wszystkie strony. Zeskoczył na grunt, który ugiął się pod jego ciężarem. Wpadł po kostki w mech. Zrobił dwa kroki do przodu i obejrzał się: w zagłębieniach, które pozostawiły jego stopy, zbierała się woda. Miał rację! Teren był grząski i z pewnością zapadłby się pod ciężarem śmigłowca.

W ostatniej chwili, przeczącymi wymachami skrzyżowanych rąk, powstrzymał lądującego już Clauda. Puścił się biegiem w kierunku lasu, na skraju którego stała jeszcze Ilana. Niebezpiecznie było biec po tak grząskim gruncie, ale na szczęście skończył się on kilkadziesiąt metrów dalej. Anders wskazał Claudowi miejsce, gdzie bezpiecznie może osiąść śmigłowiec i nie czekając pobiegł dalej za dziewczynką niknącą właśnie za pniami drzew. Gdy wszedł do lasu, widział jeszcze przez chwilę czerwoną sukienkę Ilany, ale zaraz zniknęła mu z oczu. Przez moment biegł w zapamiętanym kierunku, aż w końcu przystanął.

„Bez sensu jest ta pogoń” – doszedł do wniosku.

Nagle usłyszał okrzyk i przed nim zamajaczyła czerwień, Ilana! Skoczył za nią.

Jeszcze kilkakrotnie, na przemian, to gubił ją, to odnajdywał, nigdy jednak nie mógł zbliżyć się na tyle, aby ją pochwycić. Zdawał sobie sprawę, że jest to gra, zwyczajne wciąganie go głęboko w las, ale zdecydował się zaryzykować. Może wreszcie nadeszła możliwość konfrontacji z czarownicą. To nic, że ona dyktuje czas i miejsce spotkania. Nie można czekać na lepszą okazję, osadnicy już opuszczają kolonię dalsze zwlekanie to groźba, że nie będzie dla kogo walczyć,

Wyjął z kieszeni kredę, zdjął kurtkę i wyrysował na plecach i przednich kieszeniach magiczne znaki. Większość z nich sam wymyślił i wypróbował. Lata spędzone na walce z magią zła obfitowały doświadczeniem, które w połączeniu z jego szczególnymi zdolnościami dawały rezultaty niepojęte dla zwykłego człowieka. Sam Anders nie rozumiał czasami wszystkiego, co się z nim dzieje; bywały chwile, gdy tajemnicze siły wprowadzały go w stan powodujący utratę kontaktu z rzeczywistością. Przebywał wtedy jakby w innym świecie, czuł się potężny, niezłomny; był we władzy Mocy, która mogła czynić wszystko. Zdarzało się to bardzo rzadko, ale za każdym razem w osobowości Andersa zostawało coś nowego, co czyniło go bogatszym i silniejszym.

Ścisnął jeszcze zawieszony na szyi amulet i ruszył za wabiącą okrzykiem i czerwienią lianą. Jak byk za matadorem. Lecz świadomie.

Po blisko godzinie takiej włączęgi, poczuł dym. Niespodziewanie las przerzedził się i Anders wyszedł na niewielką polanę. Na środku płonęło ognisko. Musiało być dopiero co podsycone, bo ogień buchał wysoko, a zwęglające się gałęzie trzaskały z hukiem. Za płomieniami stała kobieta. Rozgrzane powietrze dygotało i przesłaniało obraz, ale rozpoznał ją natychmiast. Czarownica.

W tym momencie coś uderzyło Andersa pod sercem. Cios pochodził od własnej duszy. Stał oczarowany, choć chronił go pancerz magicznych znaków. Ale każdy pancerz broni tylko przed wtargnięciem sił zewnętrznych; nic nie obroni człowieka przed samym sobą. Nic... Może jedynie własna silna wola.

Trzeba niezwyklej siły woli, by postąpić wbrew sobie.

Tymczasem stali naprzeciwko siebie: czarownica i człowiek będący zabójcą jej rasy. A między nimi żywy ogień – ściana nie do przebycia. Oboje podeszli tak blisko, że żar poczerwienił ich twarze. Czarownica – ogień – zabójca. Osobno Zło i osobno Moc zwalczająca je. A ogień jest tym, co dzieli. Czyli wszystkim.

Nagle Anders poczuł pożądanie. Tak silne, jak silnie może mężczyzna pożądać kochanej kobiety. KOCHANIEJ! Nie bał się teraz tego słowa. Patrzył w jej oczy i rosło w nim pożądanie. Zmysł telepatyczny mówił mu, że to samo dzieje się po drugiej stronie ogniowej zasłony. Płonął nie jeden, lecz trzy ognie.

Strzał padł z boku... I wraz z hukiem Anders poczuł piekący ból w prawym przedramieniu. Zachwiał się i przykleknął. Odwrócił twarz od ognia i zobaczył Ilanę. Trzymała w obu dłoniach rewolwer. Mierzyła w Andersa, gotując się do oddania drugiego strzału.

Wtedy Anders pojął perfidię całej akcji. On sam, dzięki magicznym znakom był dla czarownicy nietykalny. Choć pragnęła go zniszczyć, nie mogła uczynić nic, dopóki chroni go Moc. Ale ktoś inny, kto nie jest czarownicą, mógł działać jak każdy człowiek – zabijać kiedy zechce, jeśli nie boi się prawa.

Iłana podeszła bliżej. Anders zobaczył otwór lufy wycelowanej prosto w niego. Odruchowo

próbował odczytać uczucia dziewczynki i naraz zrozumiał, dlaczego czarownica ma na nią taki wpływ, Ilana była chora psychicznie. Cały jej umysł był chaosem opanowanym przez zaklęcia. Zamknął oczy, choć nie mógł uwierzyć, że to koniec.

–Stój! – głośny okrzyk pochodził z drugiej strony ogniska, Ilana spojrzała w stronę czarownicy i widząc jej przyzywający gest – podbiegła. Czarownica wzięła rewolwer i wyłuskała z bębena naboje.

* * *

Siedzieli we trójkę przy dogasającym ognisku: Anders, czarownica i Ilana. Zapadał już mrok i na niebie pojawiły się pierwsze gwiazdy.

–W śmigłowcu mam licznik Geigera – mówił Anders. – Ale bez sprawdzania wiem, że złoża rudy uranu są bardzo bogate. Kim jest człowiek, który chce nimi zawładnąć?

–Nie wiem o niczym – odparła czarownica. – Ostrzegam, wycofaj się, bo za drugim razem nie daruję ci życia.

–Zapominasz, że czytam twoje uczucia. Kim jest człowiek, który cię wynajął? Najpierw kazał ci wypędzić naukowców, potem, gdy koloniści ubiegli go w prawach do Chiroptera, przyszła kolej na nich. Wszystko dla zysku, dla uranu. Pieniądze! Nieważne szczęście, nieważny pokój. Kim on jest?

–Znajdę go! Próbował mnie zabić. Wynajął ludzi z mafii i tylko łut szczęścia sprawił, że wyszedłem z tego cało. Wtedy jeszcze nie domyślałem się niczego, sądziłem, że to zwyczajny napad, potem, że pomyłka. Dopiero twoje przeloty z Chiroptera na Ziemię i z powrotem dały mi do myślenia. Ktoś musiał je finansować. Wiadomość o złożach uranu była trafnym śladem. Zrozumiałem wtedy twoje dziwne zachowanie – nie działałaś na własną korzyść, lecz dla kogoś innego. Bogatego i gotowego na wszystko. Takie to proste, wynająć czarownicę i swoje zło zapisać na nią.

Czarownica milczała, Ilana bełkotała coś niezrozumiale i wygarniała patykiem popiół z ogniska. Nie obchodziło ją co mówi Anders, nie obchodził ją ten świat. Miała własny.

Czarownica wciąż milczała. Wpatrywała się w tańczący ogień, który niczym w kryształach odbijał się w jej oczach.

Anders nie potrafił określić formy rządzących nią emocji. Czuł się osłabiony, rana w przedramieniu dawała się we znaki.

Wciąż nie ufał czarownicy i nie zmywał z siebie magicznych znaków. One sprawiały, że był nietykalny. Nikt nie odważył się dotknąć wrzącego metalu.

–Kim jest ten przeklęty bogacz?! – wykrzyknął.

–Odejdź – powiedziała kobieta.

–Najważniejsi są dla mnie osadnicy – Anders szybko wstał. Przypadkowo naprężył zraniony mięsień i skrzywił się z bólu. Wyjął kompas i określił kierunek marszu.

–Kocham cię – powiedział wreszcie to słowo.

–Jutro kończymy rozejm...

–Kończymy – Anders chwycił rękę Ilany. Zabierał dziewczynkę ze sobą. Robił to dla Clauda.

–Wynoś się! – usłyszał, gdy opuszczał polanę. Potem w lesie długo jeszcze gonił go upiorny śmiech.

A czarownica siedziała w bezruchu. Skaczący płomień ogniska wywoływał wrażenie drgania jej posągowej twarzy. Pochyliła głowę i wtedy coś zasyczało.

To syknął popiół, na który spadła wielka łąza.

–Niech mnie piekło pochłonie!

Pochłonęło ją piekło.

KABAŁA

Zgrzytnął stalowy zamek.

–Do widzenia Benet! – zawołał strażnik, przekrzywiając ironicznie głowę.

Arch Benet obrzucił go zimnym spojrzeniem, patrzył tak przez chwilę, aż wreszcie odwrócił się i wyszedł na ulicę. Nagle zatrzymał się, oczekując na trzask zamykanych drzwi; ten odgłos sprawił mu wyjątkową przyjemność. Więzienie zawsze uważał za potwora połykającego bezlitośnie ludzi, którym życie pokazało swoje najczarniejsze kąty.

–Żegnam – wyszeptał na przekór strażnikowi; nie zamierzał nigdy tutaj powracać.

Ruszył naprzód, lecz za chwilę ponownie znieruchomiał. Sparaliżowała go świadomość odzyskanej wolności, poczucie swobody i niezależności. Rzucił na chodnik parcianą torbę zawierającą cały jego majątek. „Co dalej?” Za murem inni troszczyli się, aby nie zadawał sobie tego pytania, każdy dzień przebiegał zgodnie z ustalonym harmonogramem, lecz teraz miało się to zmienić. Świadomie odrzucił wszelkie ułatwienia proponowane przez władze więzienia, ku zdumieniu naczelnika podarł skierowanie do pracy, nie przyjął również cywilnego ubrania, które – zgodnie z regulaminem – przysługiwało skazanym odbywającym karę pozbawienia wolności na okres powyżej jednego roku.

Spojrzał na swoje ręce i uśmiechnął się smutno; rękawy kurtki były o kilka centymetrów za krótkie. Przez te cztery lata najwidoczniej urósł, z czego wcześniej nie zdawał sobie nawet sprawy. Do więzienia trafił mając szesnaście lat, teraz miał ich już dwadzieścia, lecz doświadczenia życiowego tyle co wtedy. Ufał, że mu to wystarczy.

Westchnął. Powietrze wydało się mu idiotycznie czyste i pachnące, jak gdyby nad więziennym murem wisiał klosz zatrzymujący stęchliznę odosobnienia.

Nagle zorientował się, że jest obserwowany. Po przeciwnej stronie ulicy słał wysoki mężczyzna w sportowej czapce na głowie. Daszek ocieniał jego twarz. Arch speszył się; było jasne, że stojąc nieruchomo przed bramą więzienia, musiał budzić ciekawość przechodniów. Podniósł torbę, pragnął jak najszybciej zniknąć z tego miejsca. Naraz mężczyzna machnął znacząco ręką i przeszedł przez ulicę. Za chwilę stanął przed Archem.

–Pan Benet? – zapytał.

–O co chodzi?

–Jestem z opieki społecznej.

Chwila konsternacji.

–A ja z ambasady na Marsie – odparł Arch zachowując powagę. Działacze z opieki społecznej

ofiarowali mu swoją pomoc jeszcze w więzieniu, ale posłał ich wtedy do diabła. Co jak co, ale nieznajomy nie wyglądał na takiego, który by wrócił z piekła.

–Nazywam się Colins – mężczyzna zignorował zaczepkę, być może uznał za mało istotne podawanie nazwy firmy, którą reprezentował. O ile to w ogóle była firma. Arch Benet milczał.

–Zapraszam pana na krótką rozmowę – podjął Colins. – Za rogiem czeka na nas samochód.

Arch uniósł w górę brwi:

–O czym mamy rozmawiać?

–Ogólnie mówiąc... o pana przyszłości.

–A jeżeli odmówię?

–...Czego?

–Rozmowy.

Skóra na twarzy Colinsa ściągnęła się pod wpływem naprężonych mięśni policzkowych.

–Od chwili, gdy do pana podszedłem, uruchomiłem pewien mechanizm wydarzeń i dalej wszystko musi potoczyć się według planu. Nieodwołalnie. Mogę panu powiedzieć, że plan ten jest alternatywny, a drugi wariant przewiduje śmierć Archa Beneta.

–Coś takiego?! – wykrzyknął odważnie Arch, ale serce zabiło mu silniej.

–Drugi wariant przewiduje, że będzie pan nieboszczykiem – powtórzył Colins.

Cisza, która zapadła po tych słowach, mogła z powodzeniem zapowiadać koniec świata.

–Idę z panem – rzekł Arch zdecydowanym tonem. Zachowywał tym samym przynajmniej pozory niezależności.

Samochód zaparkowany był w cieniu kasztanowca rosnącego przy ulicy nie sąsiadującej z terenami więzienia. Arch pojął, że nawet jeżeli ktoś z obsługi obserwował go podczas rozmowy z Colinsem, nie będzie wiedział do jakiego samochodu wsiedli, nie będzie wiedział, że w ogóle wsiedli do jakiegokolwiek samochodu. Ale nie mógł nic zrobić. Oczekiwał jedynie, że pierwszy wariant planu będzie dla niego korzystniejszy niż drugi.

* * *

Czegoś takiego Arch nie widział jeszcze nigdy w życiu, nie wyobrażał sobie, że w ogóle istnieją takie domy. Salon musiał mieć przynajmniej czterysta metrów kwadratowych! Jeszcze bardziej zdziwił się, gdy spostrzegł, że znajdujący się w centralnej części pomieszczenia basen

wcale nie służy do kąpieli. Wodną toń zamieszkiwały najprzeróżniejsze gatunki ryb oraz potwornych rozmiarów żółw, leniwie pływający pośród brudnozielonych wodorostów. Basen otaczał wieniec bogato ornamentowanych kolumniek koloru najczystszej białej śniegu. Przepych pozostałej części salonu przywodził na myśl pałac z dobrze pomyślanej baśni: rośliny, z których zaledwie dwie czy trzy Arch może kiedyś widział w telewizji, wspaniałe meble, doskonale pasujące kolorystycznie do utrzymanych w jasnoniebieskiej tonacji puszystych dywanów, przeszklone ściany i sufit z podwieszonymi grubymi zasłonami, wszystko utrzymane w doskonałej harmonii, lśniąca czystością, pławiące się w słonecznym świetle i oszałamiającym zapachu.

–Zapewne zastanawiasz się w jakim celu chciałem się z tobą widzieć – powiedział mężczyzna o wyglądzie zapaśnika. Tężyzna fizyczna, doskonale skrojony garnitur i silna opalenizna maskowały jego otyłość, charakterystyczną dla bogatych ludzi po pięćdziesiątce.

–Chciał pan-ze mną rozmawiać – w oczach Archa pojawił się zagadkowy błysk.

–Rzeczywiście – przytaknął kpiąco mężczyzna.

Arch wzruszył ramionami. Czuł się nieswojo, ale sądził, że z powodzeniem maskuje to marsowym wyrazem twarzy.

Usiedli przy niskim stoliku, nakrytym bladobłękitnym obrusem.

–Napijesz się czegoś? – zapytał gospodarz.

–Nie pijam alkoholu.

–Przepraszam. Powinienem był się domyślić.

Arch odebrał to jako aluzję do swojego pobytu w więzieniu; w takim miejscu trudno o wyrobienie nawyku picia drinków.

Jak spod ziemi wyrósł przy nich lokaj. Na tacy niósł szklanekę z kolorowym płynem.

–A pan...? – spojrzał na Archa.

–Dziękuję Colins – odprawił go gospodarz. – Możesz odejść.

–Colins? – spojrzenie Archa wyostrzyło się. – Tak nazywał się mężczyzna, który mnie tutaj przywiózł.

–Zgadza się. Ja również nazywam się Colins, każdy, kogo spotkasz w tym domu tak się nazywa, nawet kucharka.

–Nie rozumiem...

–To na twoją cześć. Prawdziwe nazwiska nie powinny cię interesować. Jeżeli dojdziemy do porozumienia, dowiesz się, wcześniej czy później, jak ja się nazywam, jestem zbyt znany i bogaty, abym zdołał to ukryć.

–Jeżeli dojdziemy do porozumienia...?

–Jeżeli uznasz, że... hm... że nie podołasz zadaniu, na twoim nagrobku każę wykuć napis: „Tu leży Colins”. Colins, czyli nikt.

Twarz Archa poszarzała, potem bladość ustąpiła miejsca wypiekom. Dygresje mężczyzny sprzed bramy więzienia mógł traktować jako efektowne pogrożki, jednakże teraz...

–O co chodzi i dlaczego właśnie ja? – zapytał pokonując suchość w gardle. Colins skrzywił się, uniósł szklankę i wypił łyk alkoholu.

–Masz prawo do pytań – rzekł – ale niepotrzebnie zadajesz dwa równocześnie.

–...?

–Odpowiem najpierw na drugie pytanie. Dlaczego ty? Z trzech powodów. Po pierwsze nie masz rodziny, ani nikogo, kto by się specjalnie tobą interesował. Po drugie jesteś bardzo młody, co doskonale pasuje do mojego planu. Po trzecie wreszcie, jesteś synem Berta Beneta.

Arch wbił wzrok w podłogę.

–Co ma do tego mój ojciec?

–Za kogo mnie masz? – zawołał z wyrzutem Colins. – Wiem wszystko o tobie i twoim ojcu.

–Wszystko, to znaczy co? – tym prostym pytaniem Arch przejmował w rozmowie inicjatywę.

–Na przykład to, że dwadzieścia jeden lat temu Bert Benet powiedział, że umrze 25 czerwca 2134 roku.

–I tak się stało – potwierdził Arch przymrużając powieki. Na wspomnienie ojca jakiś cień przeszedł przez jego serce.

–Tak jest, dokładnie tego dnia, na mocy wyroku sądowego, umarł na krześle elektrycznym... Wiem, że nie jest to dla ciebie przyjemne wspomnienie...

–Lubię rozmawiać o ojcu, umarł, bo tak chciał los, pogodziłem się z tym. Przeraza mnie raczej nieuchronność niektórych wydarzeń. Ojciec przez wiele lat znał datę swojej śmierci i nie zdołał jej zapobiec... tyle lat... tyle przypadków losowych, tyle możliwości wyboru i wszystko to nie ma żadnego znaczenia...

–Może nie próbował nic zmieniać?

–A pan by nie próbował?

Milczenie było odpowiedzią.

–Nadal nie widzę związku tej historii z obecną sytuacją – zauważył Arch.

–Związek taki istnieje – odparł Colins. – Ja wiem w jaki sposób twój ojciec dowiedział się kiedy umrze.

–To żadna tajemnica. Stawiał doskonale kabały.

–Może i nie tajemnica – zgodził się Colins – ale domyślam się, że niejednego zdołał cię nauczyć.

Arch zaczynał rozumieć.

–Chodzi panu o moje umiejętności wróżbiarza? – prychnął.

–Niezupełnie.

–Zawiedzie się pan. Nie umiem prawie nic.

–Przesadna skromność, Arch, twoi współwięźniowie byli innego zdania.

–To prości ludzie – na twarzy Archa pojawił się grymas. – Można im wiele wmówić.

–Może tak, a może nie...

Do salonu wszedł lokaj, przywołany przy pomocy ukrytego przycisku dzwonka.

–Przynieś mi bagaż pana Beneta – powiedział Colins.

Lokaj zniknął za drzwiami. Za chwilę pojawił się, trzymając w ręku torbę.

–Wysyp wszystkie rzeczy na podłogę – rozkazał Colins.

–Nie trzeba – Arch powstrzymał lokaja. – Czego pan szuka? – zwrócił się do Colinsa.

–Kart Berta Beneta.

–Mam je, i co z tego?

–Twierdziłeś, że nie wróżysz.

–To pamiątka po ojcu – Arch wstał i chwycił torbę.

Lokaj spojrzał badawczo na gospodarza, ale widząc przyzwalający gest – odsunął się. Colins

wyciągnął rękę.

–Mógłbym obejrzeć te słynne karty?

–Nie.

Twarz Colinsa przybrała wyraz dziecinnego niemal zdumienia. Rzadko zdarzało się, aby ktoś mu czegoś odmawiał, a szczególnie tak kategorycznie.

–Dlaczego? – zapytał. – Przecież w każdej chwili mogę zabrać ci je siłą?

–Nie... – podstępny cios w prawą nerkę, wymierzony przez stojącego z tyłu lokaja, nie pozwolił Archowi dokończyć zdania. Z głuchym jękiem upadł na miękki dywan. Ból był ostry i przeszywał całe ciało.

–Nie mów do mnie w ten sposób – syknął Colins. Nie ruszył się z fotela, ale jego kark poczerwieniał jak po fizycznym wysiłku.

Arch milczał. Walczył z ogarniającą go niemocą, z trudem chwycił oddech. Wreszcie ból zelżał.

–O co chodzi?! – rzucił w stronę Colinsa nienawistne spojrzenie.

–Powoli... – magnat rozpogadzał się. – Najpierw usiądź w fotelu.

Arch dźwignął ciało. Coś zakłuło w boku, cios lokaja był precyzyjny.

–Twój ojciec – podjął Colins, jakby zapominając o kaprysie obejrzenia kart – wykonywał pewne zadania, dobrze płatne zadania.

–Nic o tym nie wiem...

–Czasami dotyczyło to polityki, dwa czy trzy razy w grę wchodziły zlecenia prywatne. Ostatnia akcja zakończyła się niepowodzeniem, ujęto Berta Beneta i jego syna Archa.

–Ojciec był niewinny, niesłusznie oskarżono nas o to morderstwo.

Colins pokręcił przecząco głową.

–Wyjdź – powiedział do stojącego nieruchomo lokaja. – Sprowadź Enis, chcę aby była tu za kwadrans – odczekał, aż za lokajem zamkną się drzwi, po czym stwierdził: – Tak się składa, że to moje zlecenie wtedy realizowaliście.

Zaskoczony Arch zacisnął silnie usta; wargi, z których odpłynęła krew, pobieleły. Przez cały okres pobytu w więzieniu miał nadzieję, że niesłusznie skazano jego ojca. Przed samym sobą ukrywał niektóre fakty, ludził się, że są jedynie zbiegiem okoliczności.

Ale Colins nie kłamał.

Bert Benet był płatnym zabójcą. Stanął przed sądem oskarżony o morderstwo na słynnym handlowcu. Został za to skazany na śmierć. Archowi zarzucono współudział w zbrodni, jednak biorąc pod uwagę jego młody wiek, sąd wydał łagodny wyrok – cztery lata odosobnienia.

Te cztery lata były pomyłką, lecz wiedział o tym tylko Arch. Co za piekielny zbieg okoliczności, że właśnie Colins wynajmował Berta Beneta?! Naraz Arch zrozumiał, że nie ma tu żadnych zbiegów okoliczności, są tylko powody, dla których Colins wybrał go do realizacji swego tajemniczego planu.

–Czego pan ode mnie oczekuje? – zapytał, ostro akcentując niemal każdą sylabę.

–Słyszałeś o Saimonie Thalisie?

Arch skinął głową, znał to nazwisko. W więzieniu Często spędzał wolny czas na oglądaniu telewizji – przed rokiem bardzo dużo mówiło się o eks-pułkowniku Thalisie.

Saimon Thalís – były żołnierz Ziemskich Sił Zbrojnych, jak podawały środki masowego przekazu – kiepski żołnierz. Uciekinier, określany przez środki informacji dezertorem.

Pirat i podobno degenerat. Jeden z głównych organizatorów nieudanego wojskowego przewrotu w roku 2136. Fiasko puczu pociągnęło za sobą tysiące aresztowań i wyroków śmierci. Ale jednemu z przywódców udało się zbiec; był nim właśnie Saimon Thalís, dowodzący wojskowym kosmodromem na Tytanie. Gdy stało się jasne, że próba zamachu stanu nie powiedzie się, pułkownik wraz z dużą grupą oddanych mu żołnierzy opanował wszystkie znajdujące się na Tytanie statki i całą eskadrę opuścił Układ Słoneczny. Był to wyczyn niespotykany w dziejach ludzkości, tylko skończony łotr, lub człowiek o olbrzymiej odwadze i autorytecie mógł ważyć się na coś takiego.

Saimon Thalís został uznany za skończonego łotra.

–Proponuję ci dwieście tysięcy slejów za usunięcie go z tego świata – powiedział Colins.

„Ten świat” przez krótką chwilę wywinął kozła przed oczami Archa. Sprawa była jasna, nawet nie pytał co będzie, jeżeli nie zgodzi się na tak postawioną propozycję.

–Thalís? Dlaczego?

–Dla ciebie to nieistotne, przynajmniej na razie – wyraz nienawiści marszczący twarz Colinsa świadczył, że jest to dla niego temat niezwykle drażliwy.

–Jestem przekonany, że przy takich pieniądzach bez trudu znalazłby pan kogoś bardziej odpowiedniego niż ja – wybuchnął Arch. – Nie mam żadnego doświadczenia, nie potrafię.

–Jesteś najbardziej odpowiedni na świecie – Colins mówił bardzo spokojnie, niemal flegmatycznie. – Diabelskie karty Beneta potrafią przewidzieć niektóre wydarzenia przyszłości, twoja w tym głowa, byś je odpowiednio wykorzystał. Znałem Beneta i wiem jaka moc tkwi w jego kartach.

–Nie pomogły mu one uniknąć śmierci na krześle elektrycznym.

–To nic nie znaczy, wręcz przeciwnie. Nie zapominaj, że twój ojciec musiał umrzeć 25 czerwca, przecież tak powiedziała kabała... Ale jest jeszcze jedna sprawa: Bert zwierzył się kiedyś w towarzystwie, że jego wnuk będzie wielkim człowiekiem, wyczytał to podobno w kartach. Stąd moja pewność, że wykonasz zadanie bez niespodzianek.

–...?

–Jego wnuk, czyli twój syn, Arch. Czy nie oznacza to, że będziesz żył przynajmniej tak długo, dopóki nie spotkasz kobiety, która mogłaby dać ci dziecko? A mój plan przewiduje uniemożliwienie ci intymnych kontaktów z kobietami, dopóki Thalys nie umrze – Colins zaśmiał się, a Arch wyczuł w tym śmiechu złośliwość; jak trafne jest to przeczucie, miał się już niedługo przekonać.

–Nie oznacza to wcale, że będę cię więził i czekał nie wiadomo jak długo, aż Thalisa trafi szlag. Rewolwerem będziesz ty – to postanowione.

–Jednak...

–Nie Arch. Za kilka dni poznasz cały plan i sam wtedy przyznasz, że nie masz wyjścia. A raczej, że masz tylko jedno – robić to co ja zechcę.

Arch obserwował pływającego w basenie żółwia. Olbrzymi gad kilkoma ruchami odnóży przenosił się z jednego końca zbiornika na drugi; akwarium mogło się może wydawać wielką przestrzenią dla kilkucentymetrowych rybek, ale dla niego było więzieniem, klatką ograniczającą swobodę. Gdyby w basenie był krwiożerczy krokodyl, Archowi prawdopodobnie nie przyszłoby do głowy porównywać go z więźniem, ale żółw – którego natura obdarzyła łagodnym wyglądem – przywodził właśnie taką myśl. Wszak on sam był kiedyś skazańcem. Dzisiaj nie wiedział już w co ma wierzyć i nieświadomie zaczynał odkrywać pewną prawdę: własne światy muszą się kiedyś zawalić, choćby były pieczołowicie budowane przez wiele lat. Rzeczywistość tworzona jest przez fakty mające liczne interpretacje, lecz tylko jedną prawdziwą – czasami prostą, a czasami nie.

Teraz, będąc pozornie w świecie wolnym, bez murów i strażników, Arch – zupełnie niezależnie od własnej woli, od własnych interpretacji prawdy – został spętany nowymi więzami. Mógł przekonać się jak mało znaczy teraźniejszość. To wydarzenia przeszłości limitowały jego dalsze losy, a wszelkie decyzje jakie mógł podjąć miały tylko jeden wyraz: robić to co zechce Colins. Przyszłość, w ogólnych zarysach, wydawała się być już ukształtowana, zgodnie z metafizycznym pojęciem słowa „Przeznaczenie”.

To samo Przeznaczenie, które układało karty kabały w kombinacje umożliwiające odczytanie wróżby.

„Tak!” – zdecydował Arch. – „Należy poddać się biegowi wydarzeń. Ostatecznie wcale nie jest powiedziane, że Przeznaczenie zaakceptowało pański plan, panie Colins!”

–Wstępnie akceptuję pańską propozycję – powiedział głośno. – Ale o ile mi wiadomo, Thalys jest ścigany przez dywizjon specjalny, jeżeli zostanie ujęty, dostanie karę śmierci bez mojego udziału...

–Ścigają go już od roku i nie posunęli się nawet o krok – odparł energicznie Colins. – Powiem ci coś, co rząd utrzymuje w tajemnicy: przed dwoma miesiącami jedna z jednostek bojowych dywizjonu zbombardowała księżyc pewnej planety gwiazdy Hores. Zlokalizowano tam nieznaną bazę, która mogła należeć do Thalisa. Po akcji przeszukano ruiny i znaleziono schron. Wyłuskano z niego blisko dwa tysiące ludzi, wśród których znajdował się pułkownik Thalys.

–Niemożliwe!

–Tak było. Więźniów załadowano do transportowca i pod osłoną trzech myśliwców wysłano na Ziemię, gdzie miał odbyć się sąd. Konwój ten nigdy nie dotarł do celu, wszelki ślad po nim zaginął.

Arch z niedowierzaniem pokręcił głową.

–Dlaczego rząd utrzymuje to w tajemnicy?

–Konwój nie dotarł do celu, ponieważ został zaatakowany przez nieznane jednostki. Myśliwce rozbiło, a transportowiec uprowadzono.

Arch zrozumiał. Oznaczało to, że Thalysa odbiło, a zatem ma więcej baz niż jedną, w każdej wielu ludzi i sprzęt umożliwiający przeprowadzenie bojowych akcji ofensywnych. Ile może być takich baz? Dwie, trzy, a może dziesięć?! Ilu ludzi, jeżeli w jednej bazie pojmano dwa tysiące, a prawdopodobnie byli to tylko nieliczni, którzy przeżyli bombardowanie. Skoro łąk, to z czego żyją, skąd mają paliwo, materiały...?

Nagle Archowi przyszła do głowy niewiarygodna myśl:

„Saimon Thalys kontroluje pewien obszar Galaktyki.”

Absurdalność tej myśli przypomniła o potędze Ziemskich Sił Zbrojnych, która była zbyt wielka, aby można było mówić o istnieniu na kontrolowanym obszarze Galaktyki innej działalności niż marginesowe piractwo.

Lecz pozostawał jeszcze obszar niekontrolowany, tak olbrzymi, iż nawet kilka systemów gwiazdnych było igłą w stogu siana.

–Chcę mieć pewność – mówił Colins – że podobna sytuacja nie powtórzy się. Thalys musi zginąć natychmiast, jak tylko zostanie ujęty, bez oczekiwania na sąd.

„Dlaczego?” – chciał zapytać Arch, lecz powstrzymał się przypomniawszy sobie, że wcześniej próbował już zadać podobne pytanie. Pobudki, którymi kierował się Colins, były równie tajemnicze, co pełne okrucieństwa...

Nieoczekiwanie wzrok Colinsa powędrował ku drzwiom. Arch podążył za tym odruchem i poczuł, że jego ciało nagle sztywnieje od przeszywającego je dreszczu. W progu stała kobieta. Była młoda, bardzo ładna i zgrabna, ale te zalety jej urody dostrzegł dopiero później. W tej chwili sparaliżował go fakt, że dziewczyna była zupełnie naga. Jej opalone ciało i gracia ruchów spowodowały, że Arch utracił poczucie rzeczywistości; stał się malcem zafascynowanym ogromnym tortem, ujrzanym przed własnym łóżkiem zaraz po przebudzeniu.

Miał dwadzieścia lat, lecz jeśli chodzi o seks, wciąż jeszcze pozostawał małym chłopcem. Więzienie odebrało mu możliwość poznania spraw, które dla większości młodzieńców w jego wieku nie były żadną nowością.

–Podejdz Enis – Colins wyciągnął rękę. Dziewczyna zakolysała biodrami i, nie wykazując najmniejszego skrępowania swoją nagością, podeszła do fotela, na którym spoczywał magnat.

Skamieniały Arch obserwował ją w milczeniu, uderzony realnością egzotyki oglądanej dotąd jedynie na telewizyjnym ekranie. Gdy Enis siadała na kolanach Colinsa, miał ochotę zerwać się z miejsca i zapobiec tej profanacji, ale nie mógł dźwignąć ciała, jakby przykutego do fotela.

Nagle – w jednej chwili – oprzytomniał. Sprawiał to radosny śmiech Enis łaskotanej przez obejmującego ją Colinsa. Radosny śmiech! Młoda dziewczyna i starzejący się mężczyzna – gdzie tu jest miejsce na radosny śmiech?!

Arch poczuł nienawiść do Colinsa, do jego pieniędzy, do władzy jaką daje mu posiadany majątek. Nie przyszło mu tylko do głowy, że przyczyną tej nienawiści może być zazdrość.

–Poznaj pana Archa Beneta, Enis – powiedział Colins.

Arch ponownie zeszywniał, gdy skośne oczy dziewczyny skierowały się w jego stronę. Skinął głową i poruszył bezdźwięcznie wargami.

–Za kilka dni będziesz się nim opiekowała... – Colins przerwał zaczęte zdanie, nachylił się do ucha Enis i coś jej szepnął. Na twarzy dziewczyny pojawiło się rozbawienie.

–... Nigdy jeszcze nie miał kobiety – dokończył głośno. Enis odchyliła głowę, rozrzucając w nieładzie swoje długie włosy i zaniósła się perlistym śmiechem.

Na twarzy Archa pojawił się jaskrawy rumieniec zawstydzenia.

Budził się powoli. Na kilka sekund odzyskiwał świadomość, by za chwilę ją utracić, potem znowu powracał i znowu wpadał w przepaść, i tak bez końca, niezliczoną ilość razy. Była to udręka, gdyż siłą woli chciał się wreszcie ocknąć, lecz niemoc zachłannie trzymała organizm w swojej despotycznej władzy. Wreszcie poddał się i zasnął. Tym razem spał krótko, a gdy się przebudził, zdołał utrzymać nad sobą kontrolę na tyle długo, aby ocknąć się na dobre.

Było zupełnie ciemno, tak ciemno, że gdyby nie seledynowe punkciki błyszczące nieopodal łóżka, Arch pomyślałby, że oślepl. Jego słuch rejestrował jednostajne, ciche uderzenia wydawane przez mechanizm sekundowej wskazówki kwarcowego zegara; seledynowe refleksy pochodziły od fluorescencji zegarowej tarczy. Ten zegar pozwolił Archowi zorientować się, że przebywa w swoim własnym pokoju; to znaczy w pokoju, który przydzielił mu Colins.

Nagle poczuł niepokój; niesprecyzowane bliżej uczucie, iż wydarzyło się coś ważnego. Próbował wstać i ze zdumieniem stwierdził, że nie może tego uczynić. Ręce i nogi miał przywiązane do krawędzi łóżka, a przez pierś i podudzia przepięte pasy. Szarpnął się, lecz jedynym co przez to osiągnął był ból. Nic nie rozumiał.

Niepokój nie ustawał i nie fakt uwięzienia przy łóżku był jego przyczyną. Arch niejasno kojarzył sobie jakieś niesamowite przeżycie, ale co to było – tego nie mógł sobie przypomnieć. Tylko gdzieś w zakamarku jego mózgu tkwiła informacja, że coś się wydarzyło. Co?! Natłok myśli spowodował, że zaczynał tracić wątek... Otrząsnął się z tego i skupił na wspomnieniach. Leżał, wlepiając w ciemność szeroko otwarte oczy, i jeszcze raz przeżywał wydarzenia ostatnich dni. Od czasu pamiętnej rozmowy prawie nie widywał Colinsa.

Magnat przydzielił mu pokój, którego komfortowe wyposażenie nie odbiegało od wystroju pozostałych pomieszczeń, zapewnił regularne, smaczne posiłki i... to wszystko. Archowi nie wolno było opuszczać budynku, nie miał z kim rozmawiać, sam Colins unikał spotkania z nim, jak gdyby zapomniał w jakim celu go tu sprowadził. W tych dniach jedynie żółw z basenu-akwarium w salonie nie zawodził i zawsze zdawał się być gotowy do zapewnienia mu towarzystwa. Rzecz jasna, było to towarzystwo iluzoryczne, biedny gad uciekłby gdziekolwiek, gdyby tylko otworzyła się przed nim taka możliwość.

–Zupełnie tak samo jak ja – stwierdził Arch.

–Na co czekamy? – zapytał Colinsa przy najbliższej okazji; dosyć miał tej niepewności dalszego losu, wołał zacząć działać, aby wreszcie coś zaczęło zależeć od niego.

–Na pewien korzystny układ – odparł magnat niczego tym nie wyjaśniając. – Musimy działać w sposób zapewniający ci dotarcie do Thalisa.

–To nierealne – zawołał Arch.

–Mylisz się. Nie znasz jeszcze moich możliwości.

Usiedli na brzegu basenu. Colins zamącił ręką wodę i zaciekawiony żółw podpłynął do nich, wyciągając do przodu pomarszczoną szyję.

–Mam zamiar uczynić cię członkiem załogi statku wchodzącego w skład dywizjonu ścigającego Thalisa – oznajmił Colins.

–Ja przecież nie mam pojęcia o służbie w Siłach Zbrojnych – zdumiał się Arch.

–Nauczysz się. Zresztą, będziesz na statku, na którym kwalifikacje nie są takie ważne.

–Co to za statek?

Colins wstał.

–Teraz nie mogę ci powiedzieć, po prostu nie mogę, mogłoby to zagrozić powodzeniu planu. Ale za kilka dni będziesz wiedział wszystko. Obiecuję... Czy ułożyłeś już kabałę? – nagle zmienił ton, posiadał umiejętność zadawania pytań w sposób brzmiący jak rozkaz.

–Owszem.

–I co?

–Nieźle – odrzekł wymijająco Arch. – Ale kabała nigdy nie jest pewnikiem, określa jedynie prawdopodobieństwo.

–Prawdopodobieństwo jest po mojej stronie?

–Tak – potwierdził Arch.

Było to kłamstwo. Ułożył kabałę, a jeden z jej tematów nosił tytuł: „Czy zostanę zabójcą?” Wynik tej części kabały okazał się dokładnym patem, remisem, który we wróżbach wychodził niezwykle rzadko. Bert Benet opowiadał kiedyś, że w jego życiu karciany pat zdarzył się tylko dwa razy. O ile Arch dobrze pamiętał, w praktyce oba pały okazały się twierdzące, ale chyba nie miało to większego znaczenia – znał wiele kabał, które świadczyły wręcz fałszywie o przyszłości. Przypuszczalnie sprawdzalność wyroków kabały zależała od wartości liczbowej prawdopodobieństwa, której karty nie potrafiły pokazać. Wszystko kręciło się wokół ułamka 0,5 nazywanego patem.

–A sprawdziłeś kiedy umrzesz? – zaśmiał się Colins.

–Nie umiem układać wróżb ferujących wyroki – powiedział Arch. – Znam jedynie kabały rachunku prawdopodobieństwa.

Była w tym tylko część prawdy. Arch umiał układać kabały ferujące, nie miał tylko doświadczenia w ich odczytywaniu.

–Poza tym... bałbym się takiej wiadomości. To nic dobrego.

–To nic dobrego! – wykrzyknął Arch w ciemność i rzucił się na łóżku. Ostry ból uwieczonych kończyn przywrócił mu świadomość. Realnością było łóżko, więzy i tykanie kwarcowego zegara.

Poczuł wściekłość. Szarpnął się i krzyknął z bólu. Znieruchomiał. Wciąż był więźniem, czy miał nim być do końca życia?!

Jedynie co mógł zrobić to czekać. Więc czekał, próbując rozszyfrować niepokojącą myśl: „Coś się stało!”

Nagle usłyszał chrobot otwieranego zamka i otworzyły się drzwi. Momentalnie błysnęło światło zapalanej jarzeniówki, niezbyt silne, ale oślepiające przyzwyczajone do ciemności oczy. Arch odruchowo przymknął powieki. Gdy je otworzył, przed sobą ujrzał Enis. Była dokładnie taka jak ją zapamiętał z pierwszego spotkania; prześliczna i naga.

–Będę twoją opiekunką... Arch – powiedziała.

–Opiekunką...? – powtórzył zdziwiony i usiłował unieść głowę.

–Nie ruszaj się – Enis wyciągnęła rękę. – Najpierw cię uwolnię. Mam nadzieję, że będziesz zachowywał się spokojnie – mówiła rozpinając pasy.

–Dlaczego nie mam być spokojny? Czuję się dobrze... – niespodziewanie zorientował się, że to nie jego głos. Mówił nie swoim głosem!

I nagle odgadł co się wydarzyło. Straszne podejrzenie tylko przez ułamek sekundy było podejrzeniem; zmieniło się w pewność, gdy spojrzął na swoje uda.

–Lustro! – wrzasnął, zrywając się na nogi. Z jego krtani wyrwał się głośny pisk.

–Stoi za tobą – szepnęła Enis.

Arch odwrócił się.

Jego ciało było podobne do ciała Enis.

Prawie identyczne jak Enis.

Był kobietą.

*** * ***

Trzy miesiące później do kapitan Sylwii Tresor, dowódcy niszczyciela „Eliza”, zgłosiła się Nancy Horn z zaszyfrowanym rozkazem podpisanym przez Naczelnika 11 Sztabu Ziemijskich Sił

Zbrojnych. Rozkaz przydzielał Nancy stanowisko adiutanta, z czego pani kapitan Tresor nie była specjalnie zadowolona, wolałaby na to miejsce kogoś z członków swojej załogi. Ale rozkaz był rozkazem, została zresztą o nim wcześniej uprzedzona przez swojego bezpośredniego przełożonego.

Jedynie człowiek podający się za Colinsa wiedział, że prawdziwe nazwisko Nancy Horn brzmi z męska: Arch Benet.

Niszczyciel „Eliza” był statkiem bojowym, wchodzącym w skład dywizjonu zwalczającego piractwo. Jego liczna, osiemdziesięciosobowa załoga, stanowiła zespół dość nietypowy, składający się z samych kobiet. Nietaktem byłoby może wymieniać zalety takiej grupy, jednak nie ulega wątpliwości, że takie cechy jak refleks, ambicja i bezwzględność dla wroga mają dla każdej jednostki bojowej pierwszorzędne znaczenie...

* * *

Mały, dobrze uzbrojony myśliwiec, wypłynął z nadprzestrzennego skoku i mknął dalej z szybkością światła. Nie był to lot bojowy, dlatego na jego pokładzie znajdowało się tylko trzech ludzi. Jeden odpoczywał w kabinie, a dwóch pozostałych dyżurowało w sterowni. Dwóch poz...

Już nie dwóch!

Potężny, dwumetrowy prawie mężczyzna, niczym rażony gromem zwałił się na podłogę. Jego towarzysz opuścił rękę trzymającą broń, przestąpił zagrażające drogę ciało i skierował się ku kabinom mieszkalnym; tam, gdzie był ten trzeci...

Saimon Thalís siedział przy stole i zabawiał się rozwiązywaniem ułożonej przez komputer krzyżówki, gdy nagle usłyszał za sobą szmer. Cichy i krótki, jak gdyby ktoś potknął się niechcący. Wszystkie mięśnie Thalisa napięły się nieznacznie, słuch wyteżył do granic możliwości, ale pułkownik nie odwrócił się. Umiał panować nad odruchem ciekawości. Prawą ręką dalej wpisywał litery w kratki krzyżówki, tymczasem lewa powędrowała na kolano. Obok, w kieszeni, miał laserownik.

Thalís bezgłośnie wciągnął powietrze do płuc. Wiedział, że na pokładzie – prócz niego – znajduje się jeszcze dwóch ludzi. Ponieważ wykluczone było, aby do myśliwca dostała się osoba niepożądana, pułkownik zrozumiał, że stoi za nim ktoś, kogo uważał za przyjaciela; Robin czy Kalc?! Ten ktoś nie zachowuje się swobodnie, a zatem nie jest już przyjacielem.

Trzasnęło łamane oparcie fotela, w ręku Thalisa znajdował się już laserownik, z którego trysnęła oślepiająca wiązka światła, dosięgając momentalnie przyczajonego w drzwiach mężczyznę. Przyjaciel i współpracownik Thalisa, Jacob Kalc, bezgłośnie osunął się na podłogę. Pułkownik sprężystym ruchem doskoczył do uchylonych drzwi. Wyjrzał na korytarz; nie było tam nikogo. Dopiero teraz rozluźnił się i spojrzał na leżącego nieruchomo mężczyznę.

„Dlaczego Jacob? Jak mogłeś?!” – przyklęknął i wyrwał broń spomiędzy zaciśniętych palców.

Spojrzał na skalę mocy – 20%.

„Chciałeś mnie tylko obezwładnić...” – przyjrzał się ciału Jacoba. Nie dostrzegł poważnych poparzeń.

–Będziesz żył... – szepnął.

Wyszedł na korytarz i skierował się do sterowni. Przed drzwiami zwolnił i uniósł laserownik. Nie był pewien po czyjej stronie jest Robin. Zajrzał do środka i już wiedział, że Robin nie jest po niczyjej stronie; leżał martwy obok fotela pilota. Nadpalony kombinezon i poparzone ciało brutalnie krzyczały, że już nic nie da się zrobić.

–Kalc! – wrzasnął Thalís. Był wstrząśnięty. – Sukinsynu! – odwrócił się i pobiegł z powrotem do swojej kabiny. Szarpnął suwak laserownika, przesuwając go na sam koniec skali i wycelował w głowę leżącego mężczyzny.

Niespodziewanie jego wzburzona twarz przybrała opanowany wyraz. Tylko oczy wciąż płonęły. Odezwało się wieloletnie wyszkolenie żołnierza. Thalís zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu stracił nad sobą panowanie i biernie poddał się nastrojom.

*** * ***

–Halo „Rydwan”! Myśliwiec „Rydwan”, odezwij się – nadawało radio. Nawoływał żeński głos.

Thalís zbliżył się do nadajnika.

–Kto mówi?

–Halo „Rydwan”! Rozmawialiśmy przecież... Kalc, to ty?

–Tu pułkownik Saimon Thalís. Z kim rozmawiam?

Nie od razu otrzymał odpowiedź. Z głośnika dobiegły szelesty, potem odgłos szeptem prowadzonej rozmowy, wreszcie usłyszał:

–Mówi kapitan Sylwia Tresor z niszczyciela „Eliza”. Gdzie jest Kalc?

Thalís milczał. Wiedział kim jest Sylwia Tresor i jaką potęgę reprezentuje jej statek. Niezniszczalna kobieta na niezniszczalnej jednostce. Ciszę przerwał ostry, zdecydowany głos:

–Jeżeli za dziesięć minut nie otrzymam potwierdzenia kapitulacji, otworzę ogień!

Cieniutka struga potu spłynęła po skroni Thalísa. „Rydwan” przy „Elizie” był niczym maczuga przy bombie jądrowej.

–Niczego jeszcze nie deklarowałem – odparł. – Nie rozumiem o jakim potwierdzeniu pani

mówi.

–Kapitulację zadeklarował Kalc.

Thalis parsknął wymuszonym śmiechem.

–To ja jestem dowódcą tego statku!

–... Teraz musisz słuchać mnie.

Thalis zignorował lekceważenie przebijające przez słowa Tresor.

–Odpowiedź podam za dziesięć minut – rzekł i wyłączył radio.

Spojrzał na leżące na podłodze zwłoki Robina; właśnie chciał je usunąć ze sterowni, gdy odezwało się to radio. Teraz motywy działania Kalca były przerażająco jasne. Zdrajca! Thalís ze złością uderzył pięścią w pulpít. Ból w kostkach palców podziałał mobilizująco, już wiedział co zrobi.

Kabina medyczna. Gdy wszedł do niej, leżący na stole reanimacyjnym Kalc odzyskiwał właśnie przytomność. Thalís pochylił się nad nim i czekał, aż otworzy oczy. Czekał długo, powieki drżały, wreszcie odkryły zwężające się źrenice.

–Odłączam aparaturę reanimacyjną – powiedział Thalís. Nagły skurcz przebiegł po twarzy Kalca.

–... Chciałeś mnie sprzedać!

Kalc poruszył niemo wargami. Jego oczy wyrażały tylko jedno uczucie: strach.

–... Nie mówię ci żegnaj, kto zabija przyjaciół, niewart jest życia – twarz Thalisa pokryła maska oficerskiego wyszkolenia. Bezwzględna maska. Tę bezwzględność miał również w sercu. Kolejno przyciskał klawisze, wyłączając sekcje maszyny reanimacyjnej.

Gdy powrócił do sterowni, włączył radio i powiedział:

–Mówi pułkownik Thalís. Poddaję się.

*** * ***

Siedzieli we trójkę i rozmawiali, lecz nie była to rozmowa równorzędnych partnerów. Thalís był pokonanym, a Sylwia Tresor i jej adiutant Nancy Horn – zwycięzcami.

–Pokonały cię pieniądze – powiedziała kapitan Tresor. – Sumy tak wielkie jak Wszechświat. Facet, który wpłacił je na konto Ziemskich Sił Zbrojnych, musiał być chyba samym diabłem.

–I nikt nie zna jego nazwiska? – tego Thalisa nie mógł pojąć.

–Nikt. Pieniądze nadeszły dwustu trzydziestoma przekazami nadanymi z tyluż miejsc. Warunek był jeden: korzystać z nich mógł wyłącznie kapitan niszczyciela „Eliza”, czyli ja – Tresor uśmiechnęła się – przeznaczając, oczywiście, całość na cele walki z piractwem. Zrobił się wokół tego wielki szum. Przesłuchiwało mnie wielokrotnie, nawet pod hipnozą, ale ja naprawdę nie miałam, i nie mam dotąd pojęcia, dlaczego ten ktoś wybrał właśnie mnie.

–Najtężsi spece głowili się nad tą zagadką – wtrąciła Nancy Horn – i wymyślono tylko jedno: ktoś chce, aby ujęło pułkownika Thalisa, ktoś bardzo dobrze zorientowany, kto wie, że niszczyciel „Eliza” jest w dywizjonie specjalnym.

Thalis spoglądał na obie kobiety. Dziwnie kontrastowały ze sobą; Sylwia Tresor była już po pięćdziesiątce, jej wyschnięta twarz wyrażała poczucie dobrze spełnionego obowiązku, natomiast jej adiutantka, zaskakująco młoda, ładna dziewczyna, wydawała się czymś rozproszona.

–Nie sądzę aby wielu ludzi było tak bogatych – powiedział Thaliss nie spuszczać z Nancy oczu. – Ci wasi spece...

–Ludzie bogaci są wpływowi. To reguła – przerwała mu dziewczyna. – Dlatego szybko umorzono dochodzenie, a pieniądze postanowiono wykorzystać zgodnie z życzeniem nadawcy.

Podtekst tego zdania był oczywisty.

... Nagle rozległ się głośny huk; międzygwiazdny kolos – tysiące ton stali i ceramitu – zadrżał jak otrząsające się po kąpieli zwierzę. Ryknął przeraźliwy sygnał alarmu.

–Gródź! – krzyknęła Sylwia Tresor podbiegając do pulpitu rozdzielni. – Zatrzasnęła się gródź! – włączała przyciski uruchamiające kamery podglądu poszczególnych sekcji, ale ekran monitora pozostawał niemy. W końcu zabłysnął; jedna z kamer działała. Ujrzeli dziewczynę, stojącą przed jednolitą szarą ścianą.

Arch Benet, a raczej Nancy Horn, wiedziała, że tą dziewczyną jest Enis, przyjaciółka Colinsa, pełniąca na „Elizie” obowiązki szeregowego żołnierza.

–Co jest?! – Thaliss zerwał się z fotela. Nancy odskoczyła pod drzwi i chwyciła za broń.

–Nie ruszaj się! – wymierzyła w pułkownika laserownik.

–Zostaw, Nancy – rozkazała Tresor. – Teraz nie jest groźny. Zatrzasnęły się grodzie, jesteśmy odcięci od reszty statku, my troje i ta mała z korytarza. Coś się musiało stać!

–Niczego pani nie rozumie, kapitanie – powiedziała Nancy Horn.

**–To ja zatrzasnęłam grodzie – do kabiny weszła Enis. W rękach trzymała wojskowy miotacz.
– Wszyscy kłaść się na podłogę!**

Oczy Sylwii Tresor wyrażały bezgraniczne zdumienie, gdy zorientowała się, że rozkaz nie dotyczył jej adiutantki. Leżała na podłodze, tuż przy Thalisie, a Enis i Nancy – obie uzbrojone – stały obok drzwi i wymieniały porozumiewawcze spojrzenia.

Enis podeszła do Thalisa, stanęła tak blisko, że jej skórzane buty dotykały niemal jego twarzy. Pułkownik uniósł głowę; poczuł biegnący przez plecy dreszcz, gdy zobaczył nad sobą lufę miotacza. Odruchowo spojrzął na Nancy. Ich spojrzenia spotkały się, przez chwilę wydawać się mogło, że w oczach dziewczyny błysnęła iskra zrozumienia, lecz Horn szybko odwróciła głowę.

–Przynoszę ci wiadomość od von Rotterna – powiedziała Enis pochylając się i zbliżając miotacz do skroni pułkownika.

–Kto to jest? – wykrztusił Thalís. Przez chwilę miał nadzieję, że ta akcja ma na celu jego uwolnienie, ale zachowanie Enis pozbawiło go złudzeń.

–Von Rottern! – krzyknęła kapitan Tresor.– Jego córka zginęła kilka miesięcy temu podczas potyczki w Układzie Hores.

Thalís poderwał się, ale widok miotacza ponownie przygwoździł go do ziemi.

–Nie znam von Rotterna!

–Ale on zna ciebie. Przysyła nas, byś zapłacił za śmierć jego córki!

–Was?

–Mnie i Nancy...

–Nancy! – w głosie Tresor brzmiała rozpacz. Leżąc na wznak, czerwona z gniewu, wyglądała bardzo staro.

Nancy Horn uniosła hardo głowę. Ścisnęła mocniej rękojeść laserownika.

–Jaką karę wymyślił dla mnie von Rottern? – zapytał Thalís.

–Najprostszą na świecie. Śmierć za śmierć.

Zapadła cisza. Przerwała ją Sylwia Tresor:

–Pułkownik jest oficerem. Trzeba odwieźć go na Ziemię. Sąd wyda wyrok, zgodnie z prawem...

Szyderczy śmiech Enis zabrzmiał niemal jak wystrzał.

–Teraz prawem jest wola von Rotterna.

–Nie znałem jego córki. Podczas walki wiele... – nagle Thalís zamilkł; nie chciał wypowiadać słów, które mogłyby brzmieć jak błaganie.

–A co ze mną i załogą? – zapytała kapitan Tresor.

–Nic.

–...?

–Po prostu nic. Oczekuję na przybycie patrolowca, którego załoga całkowicie oddana jest von Rotternowi. Razem z Nancy wsiądziemy na jego pokład i odlecimy. Wcześniej rozhermetyzujemy odcięty awaryjnymi grodziami człon dowodzenia. Wasze ciała, twoje i Thalisa – rozerwie próżnia.

–Nancy! – padł okrzyk ostatniej nadziei. Nancy Horn milczała.

–Nie możemy- sobie pozwolić na świadków – dokończyła Enis. – Von Rottern nigdy by nam tego nie wybaczył.

*** * ***

Gdzieś w kosmosie, z dala od materii skupionej w postaci gwiazd i planet, mknie siłą bezwładu niszczyciel „Eliza”.

Rotacyjny ruch statku wywołuje złudzenie osłabionej grawitacji, lecz załoga wie, że silniki nie pracują; nie mogą pracować, gdyż człon dowodzenia jest sztucznie odcięty grodzią awaryjną. Za dwieście czterdzieści godzin – jeżeli grodz nie otworzy się – komputer maszynowni uruchomi automatyczne zasilanie i skieruje „Elizę” w te współrzędne nadprzestrzeni, które statek ostatnio opuścił. Będzie oznaczało to powrót awaryjny.

Komputer maszynowni mógłby zadziałać wcześniej, włączony odpowiednim, tajnym symbolem programu, znanym przez kapitana „Elizy” i jej adiutanta, ale obie kobiety znajdują się w odciętym członie dowodzenia.

Człon dowodzenia...

Dwie rozciągnięte na podłodze ludzkie postacie to kapitan Sylwia Tresor i pułkownik Saimon Thalís. Dziewczyna figurująca w kartotekach jako Enis Colins słoł nad nimi w rozkroku potrząsając miotaczem. Oparta o drzwi kabiny adiutant Nancy Horn, ze śmiertelnie poważną miną wpatruje się w swój własny, kieszonkowy laserownik.

Ale najważniejszy jest tutaj von Rottern, to on stworzył plan... Jest najważniejszy, lecz

nieobecny.

I nagle:

–Enis! – krzyczy Nancy Horn.

Enis odwraca się i wtedy paraliż chwytą jej system nerwowy szybciej, aniżeli bodziec zrozumienia zdążył zrodzić się w mózgu.

–Enis! – krzyczy po raz drugi Nancy Horn. Opuszcza laserownik, z którego przed chwilą strzelała.

Enis leży nieruchomo na podłodze. Nancy doskakuje do niej i podnosi upuszczony miotacz.

–Brawo Nancy – mówi Sylwia Tresor. Podnosi się z podłogi. – Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

–Nie ruszać się! – Nancy znowu krzyczy, jak gdyby nie umiała już mówić normalnie.

Kapitan Tresor ponownie pada na posadzkę. Nie rozumie niczego. Jeszcze nie rozumie.

–Jest pan wolny, pułkowniku – Nancy wciąż jest poważna.

Thalis wstaje, prostuje się niezgrabnie i naraz, drapieźnie kocim ruchem, doskakuje do Nancy. Ale dziewczyna jest szybsza, w ostatniej chwili wymyka się spod wyciągniętego ramienia.

–To nie blef – mówi i na dowód kładzie miotacz i laserownik na krzesło. Sylwia Tresor łakomie spogląda na broń, lecz ta leży zbyt daleko.

–O co chodzi? – zadaje sakramentalne pytanie Thalís.

W tej samej chwili Enis odzyskuje przytomność. Brak jej sił, aby się podnieść, więc niczym wielki robak wije się na podłodze.

–O co chodzi Arch? – pyta i ona.

–Von Rottern jest głupcem. Właśnie to udowadniam.

–Jak się stąd wydostaniemy?! – Thalís chwytą Nancy za rękę. Zaufanie to jego jedyna szansa.

–Poczekamy na patrolowiec von Rotterna – odpowiada Nancy Horn. – Znam hasło, polecą dokąd zechcą.

–To znaczy...?

–Dokąd pan zechce, nie mam wyboru.

–Musimy się śpieszyć, ktoś z załogi „Elizy” może zaraz wyjść na zewnątrz statku i próbować dostać się do nas...

–Zdążymy...

–Arch! – krzyczy ochryple Enis. – Bez von Rotterna nigdy nie będziesz znowu mężczyzną. Zastanów się!

Pułkownik jest zdezorientowany, nawet Sylwia Tresor kamienieje i przestaje myśleć o leżącej na krześle broni.

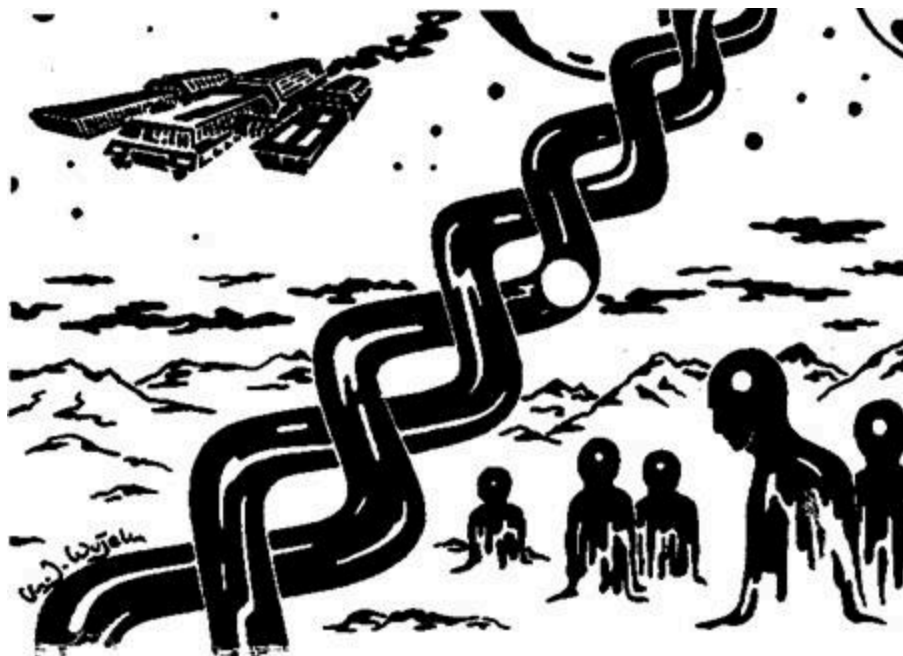
–Majaczy. To reakcja na działanie laserownika – wyjaśnia Nancy Horn, lecz równocześnie przypomina sobie słowa von Rotterna: „To jest właśnie moja gwarancja. Wykonasz zadanie i powrócisz, aby być znowu sobą, Archem Benetem.”

Ale jeszcze inne słowa dźwięczą w uszach dziewczyny: „Wnuk Berta Beneta będzie wielkim człowiekiem”.

Nancy przygląda się Thalिसowi i dziwnie uśmiecha się na myśl, że von Rottern zbyt pobieżnie potraktował tę przepowiednię.

Saimon Thalис, mimo swego wieku, jest przystojnym mężczyzną. Wystarczająco przystojnym na ojca wielkiego człowieka.

Patrolowiec von Rotterna przybija do niszczyciela „Eliza”. Jego dowódca wie jedno: ma słuchać rozkazów kobiety, która poda mu hasło.



ŁYŻWIARZ

Alceda to planeta, na której nigdy nie pada śnieg. Czas mija znacząc swe istnienie porami roku; po wiosnie następuje lato, po lecie jesień, a po jesieni – zima, ale nawet zimą nie pada śnieg, i nikt nie wie dlaczego, bo wody nie brakuje. Wygląda na to, że śnieg jest wynalazkiem Ziemi.

Zimową porą nawet w strefie równika temperatura wynosi ponad minus trzydzieści stopni Celsjusza. W skali Wszechświata nie jest ona wcale niska, ale dla człowieka – ledwie do zniesienia. Lecz ludzie żyją tu i mają się różnie: źle i dobrze. Na ogół jednak źle.

Astel Wendeek odpoczywał w swoim bunkrze. Spał. Na dworze szalała zamieć; wicher dął ostrym, lodowym pyłem, pochodzącym z wietrznej erozji lodu i skostniałej od mrozu ziemi. W taką pogodę szczególnie docenia się szczelność i ciepło własnego bunkra.

Zbudziło go łomotanie do drzwi. Najpierw pomyślał, że odłamała się jakaś lodowa bryła i tłucze teraz o ściany, lecz stukot nie ustawał; był rytmiczny i natarczywy. Otworzył drzwi. Do środka momentalnie wtargnęła biała, hucząca mgła. Gnana podmuchem spenetrowała każdy zakątek bunkra, by osiąść połykającym szronem na podłodze i sprzętach. Uspokojona cząstka zamieci. Do przedsionka wszedł mężczyzna ubrany w ciężki, pyłoszczelny skafander. Wendeek naparł na drzwi całym ciężarem ciała, domknął je i zarygłował. Mężczyzna uchylił zaparowaną szybę hełmu i rozluźnił zaciski.

–Dzień dobry, panie Ornin – powiedział Wendeek. – Straszna zamieć, co?

Ornin westchnął i usiadł na krześle.

–Widywałem gorsze.

–Ja nie pamiętam takiej – Wendeek nastroszył się. Znał ten ton. Coś się szykowało. Nie mogło być inaczej, Ornin nigdy nie odwiedzał swoich wasali bezinteresownie.

–Krótko żyjesz.

–Mam dwadzieścia trzy lata i...

–I jesteś Łyżwiarzem. Moim Łyżwiarzem. Nie ma dla ciebie strasznych zamieci.

–... Nie ma – powtórzył cicho Wendeek. Zdjął z pieca czajnik z gotującą się wodą...

–Wrzątek czy napar? – zapytał.

–Napar.

Ornin zdjął rękawice i chwycił miseczkę z gorącym płynem.

–Zimno tu u ciebie – powiedział.

Wendeek wzruszył ramionami.

–Dla mnie akurat. Jestem Łyżwiarzem.

–Przejdźmy do rzeczy – Ornin odstawił miseczkę. Jego twarz przybrała zatroskany wyraz. – Latros jest chora.

Wendeek zeszywniał. Latros była córką Ornina. Jedyłą, ukochaną córką. Wendeek był synem jej niańki i jako dzieci spędzali ze sobą dużo czasu, ale po osiągnięciu pełnoletności skończyła się przyjaźń. Ornin był właścicielem osiedla, panem zatrudniającym dziesiątki ludzi, a Wendeek nikim. Dokładnie nikim. Potem został Łyżwiarzem, lecz nadal był nikim.

Gdy miał osiemnaście lat, stwierdził, że kocha pannę Ornin. Szesnastoletnia wówczas Latros, początkowo przyjmowała jego hołdy, lecz wkrótce – zapewne pod wpływem ojca – odcięła się od wszelkich kontaktów. W ciągu ostatnich trzech lat nie zamieniła z Wendeekiem ani słowa. A teraz była chora i potrzebowała pomocy.

–Jakie ma pan dla mnie zadanie?

–Latros jest chora na mroźnicę.

–Od dawna?

–Od przedwczoraj. Trzeba ją ratować!

–Mroźnica jest nieuleczalna – stwierdził apatycznie Wendeek i przysiadł na krześle.

–Niezupełnie – odrzekł Ornin. – Zeszłego lata byłem w stolicy. Przypadkowo poznałem pewnego człowieka. Przyleciał z Ziemi. Nigdy nie widziałeś rakiety, ale mówię ci, jest to wspaniała rzecz. Tak ogromna, że niemożliwa do wyobrażenia. Trzeba to zobaczyć, aby uwierzyć.

–Nie wolno nam latać raketami. Jesteśmy Kolonistami.

–Nie wolno – potwierdził Ornin. – Ale nie w tym rzecz. Otóż, przybysz z Ziemi był lekarzem i przywiózł transport leków. Na Ziemi mieszkają wykształceni ludzie, którzy zbierają informacje o Alcedzie i pracują nad tym, aby ułatwić nam życie.

–Najbardziej by ułatwili, gdyby nas stąd zabrali – wyrwało się Wendeekowi. Dzisiaj siedział w nim chochlik. Ornin spojrział na niego groźnie.

–Zamknij się i słuchaj! Na Ziemi wiedzą o gnębiących nas chorobach. Ten człowiek powiedział mi, że wynaleziono już lek na mroźnicę i on właśnie go przywiózł. Rozumiesz?

–Oczywiście – przytaknął Wendeeek. – W stolicy jest lekarstwo na mroźnicę.

–O to właśnie chodzi. Pojedziesz po nie moim własnym eskonem.

Wendeeek spodziewał się, że takie właśnie będzie polecenie, ale nie rozumiał dlaczego Ornin wybrał właśnie jego. Był Łyżwiarzem – nie kierowcą.

–Żaden pojazd nie przejedzie nawet kilometra – zauważył. – Drogi są zawiane pyłem, zavalone drzewami i lodowymi bryłami. Trzeba by dźwigu, ale w taką zadymkę...

–To nierealne – potwierdził Ornin. – Dlatego pojedziesz przez jezioro. Po lodzie.

–Zarwie się! – zaprotestował ostro Wendeeek. – Eskon to prawie czółg. Pan nie ma pojęcia co to jest lód. On wciąż pracuje mechanicznie, spiętrza się, tworzy przeręble, które zamarzają, ale są cienkie. Podczas zamieci nie można ich odróżnić. Utopię się!

–Pojedziesz jak długo się da, a potem na łyżwach.

–W taką pogodę?!

–Pojedziesz Wendeeek. Przygotuj się. Ruszysz jeszcze dzisiaj. Astel zagryzł wargi. „Pojedziesz Wendeeek” – łatwo rozkazywać. A jeszcze tego lata...

–Tego lata nazwał mnie pan darmozjadem.

Ornin gwałtownym ruchem odsunął od siebie miseczkę z naparem, aż jej zawartość prysnęła na blat stołu.

–O co chodzi? Masz zamiar kwestionować moje polecenia?!

Wendeeek wolał się nie odzywać. Wiedział, że jest to najlepszy sposób, by rozładować wzburzenie Ornina.

–Wypuść mnie – Ornin wstał. – Czekam u siebie, bądź za godzinę.

–Chciałem jeszcze coś powiedzieć – Wendeeek zatrzymał się przy drzwiach.

–No?

–Pojutrze zamieć nieco się uspokoi. Będzie łatwiej przejechać.

–Akurat znasz się na pogodzie! Pojutrze będziesz już w połowie drogi. – Ornin nasunął szymbę hełmu i uszczelnił klamry. Skinął na Wendeeeka, który otworzył drzwi. Zamieć ponownie wtargnęła do bunkra.

–Znam się, bo, do cholery, jestem Łyżwiarzem – krzyknął w ciemność Wendeeek.

Wypluł zalepiające mu usta kawałki lodu. Uporał się z drzwiami i w bunkrze uspokoiło się. Otrząsnął się. Był odporny na mróz, ale miał na sobie tylko sweter i przesyły go dreszcze. Rozejrzał się wokół i stwierdził, że przed wyjazdem czeka go robota. Pierwsza warstwa szronu stopniała już i razem z drugą tworzyła paskudną kaszkę pokrywającą podłogę. Trzeba ją wytrzeć nim ściany i meble wchłoną wilgoć. Wilgoć to najgorszy wróg – jest przyczyną śmiertelnych często chorób. Na przykład grypy, zapalenia płuc, czy mroźnicy. Najgorsza jest mroźnica: obniża się ciepłota ciała, najpierw sztywnieją nogi, potem ręce, a potem cała resztę.

Powoli – trwa to tygodniami – organizm człowieka zapada w letarg, z którego nigdy nie ma się przebudzić. W końcu ustaje akcja serca. Jest to równoznaczne ze śmiercią, ale Astel znał wielu ludzi, którzy uważali, że zgon po mroźnicy jest tylko pozorem i – mimo obowiązku grzebania zmarłych – przechowywali w ukryciu ciała ludzi pokonanych przez chorobę. Wierzyli, że mroźnica to rodzaj hibernacji, podczas której ustają wszelkie procesy życiowe, lecz przyjdzie czas, gdy zmarli obudzą się. Nigdy dotychczas nic takiego się nie wydarzyło, ale legenda żyła i miała wielu zwolenników. Ich koronnym argumentem był fakt, że ciała zmarłych na mroźnicę nie ulegały rozkładowi. Nikt nie chce pogodzić się z utratą bliskich sobie osób i gdy istnieje cień – choćby wyimaginowanej – szansy, każdy stara się go trzymać. Wendeek przypuszczał, że nawet Ornin, który wyśmiewał przesady i kategorycznie domagał się, aby jego ludzie chowali zmarłych, że ten właśnie Ornin – gdy przyjdzie pora na Latros – uwierzy w legendę. Bo niby dlaczego miałby nie uwierzyć? Warto wierzyć w szczęśliwe wydarzenia.

* * *

Astel Wendeek wyjechał zza muru otaczającego skupisko bunkrów. Dopiero tutaj – na otwartej przestrzeni – zamieć ukazała swoją prawdziwą potęgę. Wiatr rzucał wokół startym na proszek lodem, co sprawiło, że widoczność była prawie zerowa.

Ale dla Astela była to jedyna niedogodność; ukryty za pancerną szybą eskonu, nie czuł ani mrozu, ani siły wiatru. Eskon był pojazdem specjalnie przystosowanym do warunków klimatycznych panujących na Alcedzie. Szybki, szczelny, zwrotny, odporny na mechaniczne uderzenia – był niezastąpionym środkiem lokomocji i nie zawodził nawet wtedy, gdy Łyżwiarze nie mieli żadnych szans; tak przynajmniej uważał Ornin, właściciel eskonu. Astel był innego zdania, ale Astel był Łyżwiarzem.

Eskon posiadał dwustulitrowy zbiornik paliwa, co wystarczało na blisko tysiąckilometrową podróż i wszystko byłoby w porządku, gdyby obok ogromu zalet nie istniała jedna wada – duży ciężar. Z pełnym bakiem eskon ważył niemal czterysta kilogramów, i tak musiało być, bo chociaż nietrudno byłoby zmniejszyć tę wagę, to wówczas groziłoby wywrócenie pojazdu przez silny wiatr. A na Alcedzie silny wiatr nie był niczym niezwykłym.

Po godzinie Astel dotarł do brzegu jeziora. Wjechał na plażę i zatrzymał się. Nie miał najmniejszego zamiaru kontynuować teraz podróży. Po pierwsze: była noc, a po drugie: wbrew opinii Ornina, ufał swoim prognozom pogody i był przekonany, że za dwa dni zamieć uspokoi się nieco. Wtedy będzie łatwiej. Wyłączył oświetlenie zewnętrzne i tylko blask małej lampki

kontrolnej rozjaśniał ciemności. Rozłożył siedzenie, owinał się pledem i ułożył wygodnie. Mimo szczelnej karoserii i pancerniej szyby oddzielającej go od świata, czuł pewien niepokój. Wiatr huczał, a lodowe bryły postukiwały, odbijając się od eskonu. Ten łomot, na tle ciągłego gwizdu, nie napawał optymizmem.

– „Ciekaw jestem, jak wygląda piekło” – pomyślał Wendeek i zaraz potem usnął.

Budził się trzykrotnie. Dwa razy, by załatwić naturalną potrzebę (eskon posiadał spust kanalizacyjny) i raz, aby spożyć posiłek. Za czwartym razem stwierdził, że może jechać dalej.

Zadymka rzeczywiście jak gdyby straciła na sile, a przynajmniej widoczność znacznie się poprawiła.

Ryknął silnik i eskon ruszył. Trudno było wjechać na lodową taflę jeziora, gdyż brzeg był stromy i pokryty zbryloną zaspą. W końcu Wendeek poradził sobie z tą przeszkodą i dalej jazda była już łatwa. Łatwa, ale jednocześnie niebezpieczna. Łatwość wynikała ze szczególnych warunków panujących na Alcedzie. Brak śniegu i porywisty wiatr, powodowały, że gładkie, lodowe powierzchnie były wolne od zanieczyszczeń. Lśniąca tafla połyskiwała wokół i Astel wiedział, że ciągnie się tak aż po horyzont – jezioro było olbrzymie, prawie jak morze. Nie widział tego, bo nieustająca zamieć wciąż ograniczała widoczność. Sporadycznie lodową płytę przedzielały spiętrzenia zamarznętej kry, uformowane głównie w okresie jesiennym, gdy temperatury nie były jeszcze tak niskie. Kry utrudniały jazdę, lecz niebezpieczeństwo wiązało się z czym innym: lód, zmieniający – na skutek wahań temperatury – swoją objętość, poddawany był wciąż naprężeniom, których czasami nie wytrzymywał i wtedy pękał. Utworzone w ten sposób przeręble szybko powtórnie zamarzały, ale istniała groźba, że pod ciężarem eskonu puszczą. Dla zamkniętego w pojeździe człowieka oznaczać to mogło śmierć.

Ale Astel Wendeek nie zamierzał zawracać. Musiał jechać naprzód. Tak kazał Ornin, tak kazało poczucie obowiązku, i instynkt Łyżwiarza. Naprzód. Po lodzie – naprzód! Astel najchętniej wdziałby teraz buty z łyżwami i wyjechał na lód. Naprzód! Lód dla Łyżwiarza jest jak narkotyk. Jak już zaczniesz, to do końca życia musisz ciąć go ostrzem łyżwy. Zatem naprzód! Heeej! Rozsądek powstrzymywał go przed wyjściem na zewnątrz. W taką pogodę tylko bardzo dobry Łyżwiarz ma szansę sobie poradzić. Na razie Wendeek wolał nie przekonywać się, czy jest bardzo dobrym Łyżwiarzem. Opanował ogarniające go podniecenie i z uwagą spoglądał przed siebie. Omijał każdy wyglądający podejrzanie lodowy obszar. Wolał nadrobić drogi, niż później żałować popełnionego błędu. Zdawał sobie sprawę, iż wiele pól objeżdża zupełnie niepotrzebnie, ale równocześnie wiedział, że jeżeli chociaż jedno z nich grozi zarwaniem się – to już warto.

Po kilku godzinach jazdy poczuł zmęczenie. Spojrzał na zegarek, porównał z mapą wskazania radiokompasu i stwierdził, że znajduje się niedaleko osiedla pana Lejta. Zboczył z trasy. Wkrótce dojechał do brzegu jeziora.

Nagle zobaczył człowieka. Wszystkie włosy na głowie zjeżyły mu się ze strachu. Kilka metrów

przed eskonem przechodził mężczyzna ubrany jedynie w obcisłe spodenki i rozpiętą koszulę, której poły szarpał wiatr. Obraz był tak absurdalny, że mógł wywołać tylko przerażenie. W tej jednej chwili Astel uwierzył w duchy. Mężczyzna nie walczył z zamiecią i choć wichry powalały go kilkakrotnie na ziemię, wstawał obojętnie, jak gdyby wcale go to nie obchodziło. Na eskon również nie zwracał uwagi. Wkrótce zniknął za białą, szalejącą zasłoną. Astelowi zaparło dech w piersiach; zeszytywniało ciało, tylko serce łomotało jak oszalałe. Było niemożliwe, aby ktokolwiek zdolny był maszerować z takim spokojem podczas zamieci, i w takim stroju. Tylko pyłoszczelny skafander z odpowiednim obciążeniem gwarantował przeżycie okresu dłuższego niż dwa kwadransy.

Nie-Moż-Li-We!

Nawet Łyżwiarz nie wytrzyma czterdziestostopniowego mrozu w samych tylko gaciach. A do tego ostre kryształki lodu potrafiące porozcinać ciało do kości.

Powoli Wendeek uspokajał się. Odrzucił idiotyczną myśl o duchu. Przywidzenie – to brzmiało racjonalniej. Nigdy nie miewał przywidzeń, ale to nie oznaczało, że nie będzie ich miał do końca życia.

Reflektory eskonu wychwyciły wreszcie mur osiedla. Wendeek znalazł się pomiędzy bunkrami. Wszystkie zimowe osiedla wyglądały identycznie. Nic dziwnego – wszystkie były budowane przez tych samych budowniczych i w tym samym czasie – osiemdziesiąt lat temu, gdy rozpoczynano kolonizację Alcedy.

Wendeek zatrzymał się przed bunkrem położonym najbliżej wjazdu. Mieszkał tu Esgin, Łyżwiarz pana Lejta. Znali się bardzo dobrze, niejednokrotnie spotykali się przewożąc korespondencję. Podczas zimy i wiosną (o ile nie było zamieci) tylko Łyżwiarze potrafili przebywać większe odległości. Ich sprzymierzeńcem był lód. I łyżwy.

Otworzył szafkę. Ominął półkę z pyłoszczelnym skafandrem i wyjął jednoczęściowy, łyżwiarski kombinezon ze zbrojonego gumolitu. Prawdziwy Łyżwiarz gardzi ogrzewanym, pyłoszczelnym skafandrem. Nawet gdyby nie gardził i tak nie byłoby go stać na jego kupno. Tylko panowie osiedli posiadali takie stroje. Ornin oddał swój, co świadczyło na jego korzyść – najważniejsze było życie córki. Wendeek wdział kombinezon. Nasunął na twarz wielkie gogle i otworzył drzwiczki. Gdy skoczył do przodu, przypominał wyglądem wielkiego, czarnego pająka. Wściekły wir zamieci porwał go i rzucił o ziemię. Drzwi eskonu zatrasnęły się automatycznie. Wendeek wstał. Tkwił po kolana w rozdrobnionej, lodowej masie. Zrobił krok do przodu i wiatr natychmiast to wykorzystał, napierając na plecy i popychając naprzód. Przywarł do ściany bunkra. Wymacał kontur drzwi i począł uderzać w nie pięściami. Minęła dłuższa chwila, nim otworzyły się. Wpadł do środka uderzając boleśnie ramieniem o podłogę. Gdy wstał, wejście było już zaryglowane. Ściągnął gogle.

–Astel! – wykrzyknął Esgin. – Skąd ty tutaj?

–Cześć – Wendeeek uśmiechnął się. – Przyfrunąłem.

Obok Esgina stała jego żona, Biara.

–Jak się tu dostałeś? – zapytała zaskoczona. – W taką zamieć?

–Przyjechałem eskonem Ornina – wyjaśnił Wendeeek. Usiadł przy stole. – Dajcie coś gorącego do picia.

Oczywiście – zreflektowała się Biara i podeszła do kuchenki. Wkrótce postawiła na stole miseczki z naparem. Był to ziołowy wyciąg zmieszany z mocnym winem. Mężczyźni wypili, a Biara przygotowywała kolację i przysłuchiwała się rozmowie.

–Ornin dał ci swój eskon? – zdziwił się Esgin.

–Jego córka jest chora na mroźnicę. Muszę zaraz jechać dalej – powiedział Wendeeek i zmarszczył brwi. Jego słowa wywołały dziwną reakcję. Esgin i Biara nagle spowaźnieli i wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Astel miał wrażenie, jakby ich czymś spłoszył.

–O co chodzi? – zapytał.

–Na mroźnicę? – Esgin zignorował pytanie. – Nie bardzo widzę związek z twoim przyjazdem.

–Jest lek na mroźnicę. Przywieźli z Ziemi. Jadę po niego do stolicy.

–Coś takiego?! – krzyknęła Biara. Zachwiała się, usiadła na krześle i ukryła twarz w dłoniach. Zaległa cisza maćona jedynie odgłosem zamieci.

–A Djorn... – szepnęła Biara.

–Co się stało? – Wendeeek był zdezorientowany. – Kto to jest Djorn?

–Był – sprostował Esgin. – Brat Biary. Zmarł na mroźnicę jeszcze przed naszym ślubem, dlatego go nie znałeś.

–W porządku – Biara oprzytomniała. – Już robię kolację. Astel pewnie jest głodny.

–Tak sobie – odrzekł Astel niezgodnie z prawdą.

Podczas posiłku opowiadał o swojej podróży. Początkowo zamierzał ukryć fakt niezwykłego spotkania – czy też przywidzenia – jakie przydarzyło mu się przed samym osiedlem, ostatecznie jednak nie ominął i tego.

–Wystraszyłem się jak nigdy w życiu – zakończył. – Nie chciałbym przeżyć czegoś podobnego po raz drugi. Ten mężczyzna wyglądał tak realistycznie, że jeszcze teraz przechodzą mnie ciarki...

Esgin znowu spojrzał porozumiewawczo w stronę Biary.

Tego było za wiele!

–Co ukrywacie przede mną?

–Wczoraj Djorn zniknął – powiedział powoli Esgin. Zakaszła sucho. Biara przysunęła się do niego i przytuliła głowę do ramienia.

–Co ty opowiadasz?! – krzyknął Wendeek. – Przecież przed chwilą sam mówiłeś, że Djorn umarł na...

–Tak – przerwał Esgin. – Ale nie został pochowany. Rodzice ukryli ciało w piwniczce pod swoim bunkrem. Wczorajszej nocy obudziła ich zamieć. Rygiel przy drzwiach – rygiel, który można otworzyć tylko od wewnątrz – był otwarty. Rozumiesz?! Ktoś otworzył drzwi! Dopiero rankiem zauważyli brak ciała Djorna. Nie wiem co się dzieje – Esgin podniósł głos – ale to musiał zrobić on! To Djorn otworzył sobie drzwi i wyszedł na zewnątrz.

Przytulona do męża Biara zaczęła dygotać. Esgin objął ją uspokajająco ramieniem.

–Legenda... – szepnął Wendeek.

–Co?

–... Przestała być legendą.

–Wy tłumacz nam Astel – jęknął Esgin. – Czy to w ogóle jest możliwe?

–Jak był ubrany Djorn?

–Nie wiem... Biara, jak był ubrany?

Biara uniosła głowę. Włosy sterczały jej w nieładzie. W oczach szklily się łzy.

–Chyba... chyba w piżamę. Tak jak... umarł.

–Zgadza się – Wendeek z trudem przełknął ślinę. Mięśnie szyi skurczem ściągnęły mu twarz ku dołowi. – Tamten był w rozpiętej koszuli.

–Czy to znaczy...?

–Tak. Widziałem Djorna. On żyje. Biara krzyknęła histerycznie.

*** * ***

Znowu zamieć. Podróż eskonem do stolicy. Astel starał się nie pamiętać o Djornie. – Starał się.

Tylko starał – niełatwo zapamiętać, że widziało się człowieka, o którym mówią, że umarł; szczególnie, gdy jedzie się samotnie po nieprzyjaznej, lodowej pustyni, gdy mrok i pył przesłaniają widoczność, gdy huk wiatru doprowadza do szaleństwa.

Był skoncentrowany. Musiał uważać na każdy metr trasy przed sobą. Tafla stężalej na mrozie wody jeziora tylko pozornie wydawała się trwała i bezpieczna.

Nagle stało się! Nim pojął swój błąd – było już za późno. Do jednostajnego szumu zamieci dołączył obcy dźwięk: trzask pękającego lodu. Astel otworzył wąż, lecz w ostatniej chwili zdołał opanować paniczny odruch by wyskoczyć. Łyżwy! Bez nich nic nie znaczył. Wyjście bez łyżew oznaczało rychłą śmierć. Wyszarpnął ze schowka torbę i przypadł do wążu. Eskon zapadał się. Astel ukrył oczy pod wiszącymi na pasku goglami, napiął mięśnie i skoczył. Huragan pochwycił lecące ciało i wyniósł poza pękającą przerębę. Chociaż raz był sprzymierzeńcem.

Spadł na lód i potoczył się po śliskiej powierzchni. Nie czuł bólu. Gumolitowy kombinezon amortyzował uderzenia. Wreszcie zwyciężył szarpiący jego ciało wiatr i zdołał usiąść. Wyciągnął z torby buty z ostrymi, długimi na kilkadziesiąt centymetrów, stalowymi listwami. Te łyżwy to był cały jego majątek, i przyszłość. Całe życie. Wdział je prosto na stopki kombinezonu i zapiął klamry. Zgrabnie skoczył na nogi. Przykucnął. Ważył teraz o dwadzieścia kilogramów więcej; buty Łyżwiarza były celowo dociążane ołowiem. Wendeeek spojrzął w stronę, gdzie pozostawił tonący eskon. Zamieć ukryła wszystko. Zdawała się ukrywać nawet wspomnienia. Teraz liczyło się tylko jedno: przeżyć i zwyciężyć. Naprzód!

Kombinezon Łyżwiarza miał wmontowany precyzyjny kompas, wskazujący kierunek północy bez konieczności poziomowania. Wendeeek spojrzął na niego i ruszył. Ostrożnie nabierał szybkości. Ustrzegł się błędu i nie upadł, mimo że wiatr próbował znaleźć na jego ciele powierzchnię żagla.

W kierunku stolicy sunął Łyżwiarz. Mknął niczym czarna błyskawica tnąca unoszący się w powietrzu gęsty, lodowy pył. Jego umiejętność to nie tylko siła i wytrzymałość. To artyzm jazdy, inteligencja pozwalająca wykorzystać siłę rozszalałej zamieci. Koncentracja uwagi i zgranie wszystkich mięśni.

*** * ***

Ze stolicy sunął Łyżwiarz. Nisko pochylona sylwetka i pracujące mięśnie nóg. Było jasno, a po niedawnej zamieci nie pozostało śladu. Na niebie świeciło słońce, które odbijało się w kryształowej powierzchni lodu, rażąc zakryte goglami oczy. Dał lekki wiatr. Mróz ścisnął niemilosiernie, lecz Astel Wendeeek mógł się tym nie przejmować. Zahartowane i rozgrzane nadludzkim wysiłkiem ciało stać było na zignorowanie mrozu. Jazda na łyżwach jest ciężką pracą, gdy trzeba jechać godzinami, gdy nie wolno przystanąć, by nie zamarznąć, nie wolno zwolnić, by nie wypaść z rytmu.

Naprzód!

Na plecach miał tornister wypełniony aptecznymi pojemnikami. Wracał ze stolicy. Niósł lek na najgorszą z chorób. Na mroźnicę.

W stolicy odczuwało się atmosferę Kolonii, mieszkańcy zdawali sobie sprawę, że pochodzą z ziemi. W rozrzuconych po całej Alcedzie osiedlach również o tym wiedziano, ale wiedzieć, a zdawać sobie sprawę – to nie zawsze to samo. Ludzie tacy jak Wendeek – zapracowani i zmęczeni ciągłą walką o przetrwanie – powoli tutaj zaczęli widzieć swoją ojczyznę.

W stolicy było inaczej. Może dlatego, że wciąż przybywały statki, przywożące na swoich pokładach tysiące nowych Kolonistów. Ludzi przywożono na Alcedę często wbrew ich woli. Polityka rządu przewidywała jak najszybsze zaludnienie planety, zabierano zatem więźniów, awanturników i biedaków skuszonych nadzieją lepszego życia. A za nimi zjawiali się Ludzie Wielkiego Interesu. Nie tacy jak Ornin – to była tylko drobna płotka – zjawiali się ci, dla których pieniądz godny jest uwagi, gdy jego wartość można określić przynajmniej w milionach. Tacy byli i będą zawsze.

Wendeek wiele dowiedział się od pełnomocnika Ornina. Zaprzyjaźnił się z nim trochę, a przy alkoholu język nie lubi wstrzemięźliwości. Pełnomocnik zawiózł Astela pod kosmodrom, gdzie Łyżwiarz zobaczyć mógł z daleka startujące i lądujące rakiety. Ale tylko z daleka – płyta i otaczająca ją strefa ochronna ogrodzone były zasiekami pod napięciem prądu elektrycznego i dodatkowo kontrolowane z licznych wieżyczek obserwacyjnych. Nawet panowie osiedli pozbawieni byli prawa korzystania z rakiet. Zbyt wielu byłoby chętnych, by wracać.

Ze zdobyciem leku na mroźnicę Astel nie miał żadnego kłopotu. Co by nie było – w miarę swoich możliwości, Ziemia troszczyła się o mieszkańców Alcedy. Zależało jej na udanej kolonizacji. A Ludziom Wielkiego Interesu zależało na zyskach. Inwestowali miliardy, aby zarobić biliony: biliony – by zarobić tryliony. Sekstyliony. I jeszcze więcej...

Astel Wendeek, który w porównaniu z nimi był nikiem, dojeżdżał do osiedla pana Lejta. Przed murem zwolnił i ostrym zakosem wjechał między bunkry. Na zewnątrz nie zobaczył nikogo. Przysiadł na kamiennej ławie przed bunkrem Esgina i zabrał się do zdejmowania łyżwiarskich butów. Mróz, na razie bez powodzenia próbował zawładnąć rozgrzanym ciałem, ale już szczypał, wykorzystując chwilowy brak ruchu. W skali Celsjusza było pewnie około minus pięćdziesięciu stopni.

Ciszę przerwał odgłos otwieranych drzwi. Dochodził z bunkra naprzeciwko, odległego o jakieś trzydzieści metrów. Astel spojrział w tamtym kierunku. Dostrzegł dwie ludzkie sylwetki. Dokończył rozpinanie butów i powstał. Zachwiał się; po wielu godzinach jazdy nogi niepewnie wyczuwały grunt. Dwie postacie zbliżyły się. Wyglądały dziwnie kontrastowo...

Wendeek wrzasnął przeraźliwie i nieprzytomny ze strachu rzucił się do drzwi bunkra Esgina. Podchodziło do niego dwóch mężczyzn. Jeden ubrany był w gruby ocieplacz i opatulony szalami,

tak jak należało, ale drugi... W drugim Astel rozpoznał mężczyznę napotkanego podczas zamieci. Nie mógł się mylić, poznał go po krótkich spodenkach t rozchełstanej koszuli.

–Esgin! Ratunku...! – Wendeek walił w drzwi pięściami. – Otwieraj!

Drzwi pozostawały nieruchome.

–Esgin!

Niespodziewanie z wnętrza bunkra dobiegł odgłos wystrzału z broni palnej. Kula nie przebiła grubych drzwi, utkwiała gdzieś między deskami. Wendeek upadł na ziemię. Dwaj mężczyźni byli coraz bliżej.

–To ja, Astel! Nie strzelaj Esgin. Otwórz! Cisza.

–Otwieraj! Zaraz tu będzie Djorn. Esgiiin!

Minęła wieczność nim szczęknął rygiel zasuw. Powoli drzwi uchylily się. Wendeek kopnął w nie z całej siły i wturlał się do bunkra.

–Zamykaj! – krzyknął. Niepotrzebnie, bo Esgin był równie przerażony i zatrzasnął drzwi nie czekając na ponaglenie.

Wendeek siedział na podłodze i ciężko dyszał. Działy się rzeczy niepojęte; zmarli zmartwychwstają, a przyjaciele strzelają do przyjaciół.

Stukot do drzwi:

–Wpuść nas Esgin! Opamiętaj się.

–Wynoście się! – Esgin uniósł sztucer i wystrzelił. Wendeek spojrzał na niego ze zdumieniem.

–Czego oni chcą? Kto tu ma się opamiętać? – zapytał. Głos mu drżał.

–Esgin! – nalegał głos z za drzwi. – Kto do ciebie przyjechał?

–Nazywam się Wendeek – odparł Astel. Wreszcie zapanował nad strachem. – Jestem Łyżwiarzem Ornina. A kim, do diabła, wy jesteście?

–Mówi Lejt. Wendeek, znasz mnie przecież. Otwórz drzwi. Astel spojrzał pytająco na Esgina. Ten energicznie pokręcił głową.

–Ani się waż! – syknął.

–Po co? – krzyknął Wendeek.

–Porozmawiamy. Esgin niczego nie chce zrozumieć, może ty go przekonasz.

–Ja też niczego nie rozumiem.

–Dlatego chcę porozmawiać.

–Kto jest z tobą?

Cisza. Wendeeek domyślił się, że Lejt uzgadnia odpowiedź.

–Jestem Djorn. Brat Biary – odezwał się inny głos. Esgin ponownie przymierzył sztucer do strzału.

–Zaczekaj – wstrzymał go Wendeeek.

–Siła nieczysta – usłyszał w odpowiedzi – Djorn dawno umarł...

–Słyszałem, że Djorn nie żyje – krzyknął Wendeeek przez drzwi.

–To nieprawda. Chorowałem tylko. Otwórz, to wszystko ci wytłumaczę.

–Wynoście się! – wtrącił Esgin i wypalił ze sztucera. W jego oczach błyskało szaleństwo. – Wynoście!

–Wendeeek!

–Zostawcie mnie – zdecydował Wendeeek. – Ufam Esginowi.

–Zastanów się.

–Dobrze. Ale na razie ufam Esginowi. Wynoście się. To jego bunkier.

Lejt i Djorn nie nalegali dłużej. Wendeeek nie wiedział czy odeszli, w każdym razie spoza drzwi nie dochodził żaden odgłos.

Esgin położył sztucer na stole. Usiadł. Jego przygarbiona sylwetka wyrażała rozpacz i zniechęcenie.

–Co mam robić, Astel? – zapytał ochrypłym głosem.

Wendeeek wzruszył ramionami. Wciąż siedział na podłodze, lecz nawet tego nie zauważał.

–To naprawdę Djorn?

Esgin przytaknął.

–Biara też go poznała. Niewiele się zmienił.

–Właśnie! A gdzie Biara?

–Uwierzyła im – Esgin skulił się jeszcze bardziej. – Jest u Lejta. On pierwszy dał się nabrać i teraz namawia innych.

–W co uwierzyła?!

Esgin wyprostował się. Znowu dziwny blask mignął w jego oczach.

–We wszystko. Że Djorn żyje. Że żyjeee...! – zaczął krzyczeć.

–Bo to prawda – rzekł po chwili Wendeek. – To prawda. Djorn żyje. Dziwnie wygląda, nie boi się zimna, ale jest żywy. Jak ja i ty. Rozmawialiśmy przecież.

–Zamknij się! To trup! Trup!

Wendeek wstał.

–Wiozę lekarstwo na mroźnicę – wskazał wiszący na plecach tornister. – To się skończy.

Esgin uśmiechnął się drwiąco.

–Za późno. Wiesz ilu zmarłych na mroźnicę jest ukrywanych?

–Myślisz, że oni też...

–Jestem pewien. Jak wszyscy, wstaną, załatwią nas. Jak amen w pacierzu. Teraz Djorn udaje, bo jest sam.

–A może... – Wendeek nie dokończył zaczętego zdania. Nagle zmienił się na twarzy. Skurcz usztywnił mu policzki.

–Moje łyżwy! – krzyknął. – Zostały tam!

Podbiegł do drzwi. Chwycił za rygiel. Esgin rzucił się w jego kierunku. Ciężarem ciała zwałił Astela na ziemię.

–Co robisz?!

–Przed bunkrem zostały łyżwy. Z tego wszystkiego zapomniałem o nich. Puść! – Wendeek odepchnął Esgina. – Muszę wyjść.

–Astel! – Esgin chwycił go mocno za ramię. – Nie zostawiaj mnie.

–Muszę. Tam są łyżwy. Też jesteś Łyżwiarzem, wiesz co dla mnie znaczą.

–Jak wyjdiesz, to nie wrócisz. Nie wpuszczę cię.

–Wychodzę!

–Zabiorą ci leki.

–Wychodzę.

Astel Wendek wyszedł z bunkra. Drzwi za nim momentalnie zatrzasnęły się. Na kamiennej ławie siedział Djorn, a przy jego nogach leżały łyżwy. Astela znowu zaczął ogarniać paniczny strach. Niesamowicie wyglądał człowiek noszący w środku zimy letnie odzienie. Djorn spoglądał na Astela, lecz nie poruszył się. Ten spokój działał odprężająco.

Zza bunkra wyszedł Lejt.

–Cześć Wendek – powiedział łagodnie i wyciągnął rękę. Wendek uściśnął dłoń w grubej, futrzanej rękawicy.

–Co się dzieje, panie Lejt? – zapytał pośpiesznie.

–To jest Djorn – Lejt wskazał w kierunku ławki. Człowiek w krótkich spodenkach uniósł pokojowo rękę.

–Cześć Djorn – wykrztusił Wendek. – Oddaj mi łyżwy.

–Są twoje. Wcale ich nie zabierałem.

Wendek niepewnie podszedł do ławki. Gwałtownym ruchem chwycił łyżwiarskie buty.

Nic się nie wydarzyło.

–Chodźmy do mnie – zaprosił Lejt. – Strasznie zimno dzisiaj.

–Nie! – zaprotestował Wendek. – Muszę jechać – bacznie rozejrzał się. Wciąż nie był pewien, czy ktoś nie spróbuje go zatrzymać. Lejt nie nalegał.

–Pytałeś co się dzieje – powiedział. – Dzieją się wielkie rzeczy. Wkrótce Alceda będzie dla ludzi rajem. Wiemy już jak się przystosować.

–... Kto wie?

–Djorn, ja i paru innych. Niedługo będą wiedzieli wszyscy. Mroźnica to choroba adaptacyjna. Kto przez nią przejdzie, tego organizm przystosowuje się do tutejszych warunków klimatycznych. Wiem, że logika burzy się przeciwko temu, ale taka jest prawda.

–Dlaczego mam panu wierzyć? – zawahał się Wendek.

–A dlaczego nie? Czy wyglądam na szaleńca?

–A ja? – odezwał się Djorn i wstał z ławki. – Czy nie jestem dowodem? – rozchylił poły koszuli i wskazał obnażony tors.

Wendeek wzdrygnął się. Jego własne ciało, choć okryte kombinezonem, drętwiało od mrozu.

Djorn zbliżył się.

–Nie podchodź! – krzyknął Wendeek. Djorn zatrzymał się.

–Chyba nie wierzysz w duchy? – zapytał Lejt.

*** * ***

Naprzód!

Astel Wendeek mknął po lodowej tafli. Znów był w swoim żywiole. Odczuwał zmęczenie, ale do osiedla Ornina było już niedaleko. Na plecach ciążył tornister z lekami.

Naraz gładką tafłę skutego lodem jeziora przecięło spiętrzenie zamrożonej, nieruchomej kry. Astel nie zwolnił tempa. Ocenił szerokość przeszkody i uznał, że nietrudno mu będzie sobie z nią poradzić. Podjechał bliżej i wyskoczył w górę. W locie podkurczył nogi, bacząc by nie zahaczyć łyżwą o bryły lodu. Wprawnie opadł po drugiej stronie zapory. Jechał dalej.

Naprzód!

Wciąż myślał o Djornie. Nagle przyszło mu do głowy, że gdyby zdjął z pleców tornister i rzucił go w najbliższą, lodową zaspę, to może wtedy wreszcie przestałby być nikim.



CZCICIEL SŁOWA

Łowcy niewolników wypływali w morze,
łupili okoliczne wyspy i przywozili ludzi,
którymi handlowali jak bydłem.

Pewnego dnia schwytali córkę Czciiciela Słowa.

Eric Martinet był pijany. Wracił do domu, lecz nie najkrótszą z możliwych dróg, gdyż jego błędnik nie kontrolował kierunku. Żadna cząstka jego mózgu nie kontrolowała niczego.

Przechodząc obok rynku usłyszał gwar i dostrzegł skupisko ludzi otaczających handlową platformę. Zbliżył się i wcisnął pomiędzy gapiów; przekrwionymi oczami spojrzał na przedmiot zainteresowania tłumu. Na platformie stała kobieta, przepasana jedynie biodrową opaską. Była piękna – tyle widział Eric Martinet – piękna – widział to mimo mgły mamiącej jego pijacki wzrok.

Otumaniony trunkami nie zauważył zimnej obojętności malującej się na twarzy dziewczyny, ani gorejących nienawiścią oczu. Nie mógł tego zauważyć, tak samo jak większość zebranych nie dostrzegała fioletowego tatuażu na jej nagich plecach.

Tatuaż przedstawiał wielką pięść ściskającą głowę węża z długim rozdwojonym językiem, lecz mogli podziwiać go tylko ci, którzy stali z tyłu platformy.

Minęło sporo czasu nim Eric zorientował się, że licytacja już trwa. Kobietę sprzedawano jako niewolnicę. Padaly sumy wykrzykiwane głównie przez mężczyzn. Początkowo prowadzący licytację nie mógł nadążyć z powtarzaniem ofert, jednak w miarę, gdy kwoty były coraz wyższe, atmosfera stawała się mniej gorączkowa, zyskując wszakże na napięciu.

Dziewczyna słała nieruchomo, jakby nieobecna, jakby nie o nią trwała walka wykrzykiwanych cyfr. Nie wstydziła się swojej nagości, ani też jej nie eksponowała. I nagle – nie! To niemożliwe – nagle Ericowi wydało się, że ta piękna istota spojrzała na niego i uśmiechnęła się.

–Dwieście – krzyknął bez namysłu.

Prowadzący licytację jak echo powtórzył liczbę i zamarł. Dziesiątki twarzy zwróciło się w stronę Erica. Dwieście siejów było olbrzymią sumą, nawet najpiękniejsza kobieta świata nie była jej warta.

–Ten człowiek jest pijany! – padł okrzyk.

–Nie wie co mówi!

–Wypraszam sobie – powiedział Eric i zatoczył się.

–To Martinet – ktoś go rozpoznał. – Ten bokser. Nie słuchajcie go, jest skończony.

–Ja sobie wypraszam – powtórzył z uporem Eric.

–Dwieście! – krzyknął po raz drugi.

Prowadzący rozejrzał się niepewnie, ale zmuszony był powtórzyć ofertę. Tym razem nikt się nie odezwał.

–Dwieście... – powiedział po raz trzeci Prowadzący. – Sprzedana! Proszę kupca o podanie nazwiska i uiszczenie opłaty.

Eric Martinet roztrącając zebranych dotarł do platformy. Wspiął się na nią, korzystając z pomocy kilku najbliższych mężczyzn. W głowie miał straszliwy mętlik; świat wciąż nabierał rozpędu, przymierzając się do wirowania... W końcu Eric nie wytrzymał i poddał się chaosowi. Upadł na deski.

„Jeden, dwa, trzy...” – liczył sędzia ringowy. Eric usiłował wstać. Nie dał rady. – ... Cztery, pięć...” – widzowie zaczęli gwizdać i krzyżeć -,,,. sześć, siedem, osiem...”

–Panie, co pan?! – Prowadzący licytację trzymał Erica za poły marynarki. Wrócił świat teraźniejszy.

Martinet z ulgą stwierdził, że nie znajduje się na ringu. Nie musi zatem wstawać, choćby liczone do dziesięciu, do stu, do tysiąca; NIE MUSI wstawać! Ale MOŻE, bo nie czyha na niego facet w bokseńskich rękawicach.

Więc wstał.

Tylko krzyki i gwizdy tłumu były rzeczywistością.

–Oszust!

–Płać! Dawaj forszę!

–Zamknąć go!

–Mówiłem, że to Martinet! – krzyczał z zacięciem jakiś mężczyzna. – Dawno się skończył. Założę się, że nie ma złamanego grosza.

Eric Martinet rozerwał podszewkę zabrudzonej kurtki. Na deski platformy wypadł plik spiętych spinaczem banknotów. Zapadła cisza; jak gdyby jakiś zły duch odebrał wszystkim mowę.

–Sto slejów – oznajmił Prowadzący. Eric rozerwał drugą stronę kurtki.

–Razem dwieście slejów – poinformował Prowadzący. – Niewolnica została opłacona.

–Kobieto – zwrócił się do dziewczyny. – Od dzisiaj panem twojego życia jest Eric Martinet – wyrzekł zwyczajową formułę.

Martinet objął ramię swojej niewolnicy. Niespodziewanie stracił równowagę i pogrążył się w nieświadomości...

*** * ***

Obudził się z okropnym kacem. Usiadł na łóżku i rozgarnął dłońmi potargane włosy. Otrząsnął się; bolała go głowa, a w ustach czuł niesmak. Kac!

Sięgnął do szafki i odszukał butelkę, na szczęście nie była pusta. Krzywiąc się wypił kilka łyków alkoholu, swojego żelaznego zapasu na wypadek przykrych porannych przebudzeń.

Poszedł do kuchni, nalał do szklanki zimnej wody i popił gorycz drażniącą gardło.

Nagle ktoś zapukał do drzwi. Narzucił szlafrok i otworzył.

–Pan Martinet? – zapytał ubrany na czarno mężczyzna. Eric nie znał go, nie znał nikogo, kto by ubierał się tak dziwnie: czarne wąskie spodnie, czarna koszula szczelnie zapięta pod szyją, czarne buty i czarny kapelusz.

–O co chodzi?

Nieznajomy nie odpowiedział. Przeszedł próg i zatrzaskał za sobą drzwi.

–Hola! Panie! – krzyknął Eric wypinając umięśniony tors. – Wolnego! Co...

W dłoni mężczyzny pojawił się dziwny przedmiot. Coś syknęło i naraz potworny ból sparaliżował prawą nogę Erica. Setki tysięcy szpilek, jedna przy drugiej, zdawało się wbijać w skórę. Całą nogę ogarnęło rozrywające ciało odrętwienie. Martinet upadł i przeraźliwie krzycząc tarzał się po podłodze.

Mężczyzna zajrzał do wszystkich pomieszczeń mieszkania, po czym podszedł do leżącego Erica.

–Gdzie jest Tijana? – zapytał.

–Co?! – jęknął Eric. Usztywniający nogę ból powoli mijał, ale niewidzialne igły wciąż drażniły skórę.

–Tijana! – mężczyzna uniósł rękę z zadającym ból przedmiotem; miniparalizator był straszną

bronią.

–Nie...! – zaprotestował Eric. Groźba ponownej męki wywoływała w nim paniczny strach. – Ja nic nie wiem! Nie wiem kto to jest Tijana!

Powtórny syk poprzedził mękę, Martinet zwinął się z bólu. Tym razem lewa noga zapłonęła jak palona żywym ogniem.

–Kłamiesz – powiedział nieznajomy. – Wczoraj kupiłeś ją na targu, wielu ludzi to widziało.

–Nic nie wiem. Nie pamiętam – wykrztusił Eric, gdy ból nieco zelżał. – Ja nie mam pieniędzy.

Mężczyzna w odpowiedzi zgarnął z wieszaka kurtkę i rzucił ją Martinetowi na pierś. – Przy następnym strzale będę mierzył w serce. Ręczę, że nie wytrzyma bólu.

Eric zobaczył rozpruła podszewkę kurtki i zapomniał o wszystkim. Jego pieniądze! Co się z nimi stało?!

–Gdzie jest Tijana? – nalegał mężczyzna.

Martinet, miętosząc w rozgorączkowaniu swoją kurtkę, natrafił na ukryty w kieszeni sprężynowy nóż, którym kiedyś rzucał równie dobrze jak boksował. Gdy mężczyzna znowu wyciągnął rękę uzbrojoną w miniparalizator, zdecydował się odnowić dawną umiejętność. Ostrze noża wbiło się w brzuch nieznajomego, jego twarz przybrała wyraz śmiertelnego zdumienia; przyklęknął i wydając głuchy jęk – upadł.

Martinet chwycił bezwładną rękę; nie wyczuł tętna. Obecność śmierci sprawia, że człowiek czuje ból, ale jest to ból duszy i umysłu, o bólu fizycznym zapomina się, a włókna nerwowe robią przerwę w swojej działalności. Jak długa jest ta przerwa, zależy od wrażliwości człowieka. Czasem trwa ona ułamek sekundy, a czasem wieczność.

Minęło wiele minut nim Martinet odzyskał sprawność myślenia. Jego nogi wciąż pulsowały bólem, lecz teraz był on już do zniesienia.

Wstał i skierował się do kuchni. Włożył głowę pod kran. Lodowate zimno orzeźwiło go. Zwalczając bezwład kończyn, z trudem wykonał kilka przysiadów. Krążenie krwi przywróciło mu władzę w nogach. Wziął prysznic i ubrał się. Wychodząc z domu zabrał nieszczęsną kurtkę, której porozpruwane szwy doprowadzały go do łez. Zniknęły oszczędności odkładane pieczołowicie w latach sukcesu i powodzenia. Oszczędności na czarną godzinę, gdy życie słanie się przekleństwem. Dopóki jest nic nie warte – tak jak teraz – można żyć, bo beznadziejność da się wygonić alkoholem.

Trzeba się napić!

Ciało mężczyzny w czerni tarasowało przedpokój.

* * *

Nóż wbity po rękojeść. Krew. Śmierć. Brak tętna, brak czucia. Brak myśli. Śmierć.

Krew. Śmierć. Ciało mężczyzny w czerni. Martwe ciało. Ostrze noża opuszcza ciało. Powoli, powoli – opuszcza ciało. Ciało we władzy śmierci.

Martwe ciało walczy. Przeklina śmierć. Wydała obcy przedmiot. Obcy przedmiot to nóż.

Brak tętna, brak czucia. Są myśli. Precz śmierci. Nóż opuścił ciało. Leży mężczyzna i obok nóż. Już obok – okrwawiony, lecz zabrał ze sobą śmierć. Ciało pozbyło się noża i pozbyło się śmierci.

Pojawia się tętno, wraca czucie. Tak odchodzi śmierć.

Otwarte oczy mężczyzny. Żywe oczy.

Nie tylko wiarą można pokonać śmierć. Czasem wystarcza SŁOWO.

* * *

Eric Martinet siedział w barze i popijał piwo. Kończył drugi kufel i wreszcie opuszczała go niemoc, a ucisk w okolicach żołądka znacznie zelżał.

Razem z nim przy stoliku siedział otyły mężczyzna. Nazywał się Gramp i był trenerem pięściarzy. W czasach, gdy nazwisko Martinet poruszało serca kibiców boksu, byli nawet przyjaciółmi.

Gdy skończył się ring, skończyła się przyjaźń, ale Eric nie miał o to do Grampa żalu. Rozumiał, że dobry trener nie ma czasu zajmować się wykolejencem, którego gwiazda zgasła już bezpowrotnie.

Od czasu do czasu Gramp starał się pomóc Martinetowi finansowo, oferując mu pewne niezłe płatne prace, jak na przykład teraz, gdy mówił:

–Jutro moi chłopcy jadą na mecz. Potrzebny jest ktoś do załadunku sprzętu. Reflektujesz?

–Odczep się – odpowiedział Martinet tak, jak odpowiadał zazwyczaj.

–Ktoś jest potrzebny. Nie ty, to pojedzie ktoś inny.

Martinet nie odzywał się (w takich sytuacjach przeważnie milczał); popijał piwo długimi łykami. Wreszcie – jak zawsze zresztą – zgodził się:

–O której wyjazd?

–O szóstej. Nie pij dziś dużo, bo zaśpisz.

–Moje zmartwienie.

–Moje też. Nie mam zamiaru szukać o świcie kogoś do pomocy. Dokończyli piwo i wyszli z baru.

–Ale numer wczoraj wykręciłeś – zauważył nagle Gramp.

–Jaki numer? – zdumiał się Martinet.

–Z tą niewolnicą. W całym mieście nie gadają o niczym innym. Skąd, u licha, wytrzasnąłeś dwieście siejów?

Martinet miał minę człowieka, który zobaczył diabła.

–Chcesz powiedzieć, że kupiłem niewolnicę?

–Jak to: „chcę powiedzieć”! Nie żartuj. Widziałem przecież.

–Widziałeś jak ją kupowałem?

–Eric! – Gramp spojrzał na niego zaniepokojony. – Czy ty przypadkiem...

–Ma na imię Tijana?

–Skąd mam wiedzieć jak ma na imię? Ty naprawdę nie pamiętasz niczego?

–Nie – przyznał Martinet. Głos mu drżał. Ostatnimi czasy coraz częściej natrafiał na luki w swojej pamięci.

Rozstali się przed willą Grampa. Eric miał ochotę wrócić jeszcze do baru, lecz brak gotówki sprawił, że zaczął myśleć rozsądnie. Gdy stanął przed własnym domem, starym, niszczącym barakiem, poczuł jak serce zaczyna mu szamotać się w klatce piersiowej. W mieszkaniu leżały przecież zwłoki, które musiał jakoś usunąć, aby nikt nie dowiedział się o jego podłym czynie. Eric odczuwał strach i podniecenie, lecz nie miał wyrzutów sumienia. Sam się dziwił, że ich nie ma. Być może alkohol zniszczył w nim ludzkie odruchy, być może uodporniły go lata spędzone na ringu, w każdym razie nie chodziło tu o to, że działał w obronie własnej.

Uchylił drzwi i wśliznął się do wnętrza. Spojrzał na podłogę i nagle zaparło mu dech w piersiach. Zmartwił. Ciała nie było... Tylko w zasychającej kałuży krwi leżał nóż, który przed godziną pozbawił życia człowieka w czerni.

Martinet przymknął powieki. Oparł się o ścianę; powoli jego nerwy wracały do stanu równowagi. Analizował minione wydarzenia, widział osuwające się ciało i siebie – szukającego pulsu. Był pewien, że go nie było, czyżby się mylił?

Nagle usłyszał głos. Otworzył oczy. W progu pokoju stał mężczyzna w czarnym odzieniu, i mówił. Wypowiadał jeden wyraz, SŁOWO. Uśmiechał się, a z jego warg – litera po literze – spływało SŁOWO. Martinet słyszał je po raz pierwszy w życiu, ale nieoczekiwanie odniósł wrażenie, że prawdziwe znaczenie tego niekończącego się wyrazu tkwi głęboko w jego duszy.

Mózg stał się opętańczym chaosem panującym nad sensem rzeczy, których wcześniej nie był w stanie zrozumieć.

Wokół trwała wieczysta cisza, od początku do końca świata – wciąż cisza. I bezruch. Bezruch szaleńca, bo cały Wszechświat pędzi. Dokąd? Tego nikt nie wie. Może Bóg... Jeśli istnieje. Musi istnieć, bo skąd by wzięła się ta cisza i bezruch; trwanie materii w postaci nieskończonej liczby atomów.

*** * ***

„Ratunku! Ratunku! Nie zostawiaj mnie tak. Powiedz jak brzmi SŁOWO. Jak? Ja nie pamiętam. Zapomniałam. Ratunku! Pomóż mi! Niebyt jest straszny. Wolalabym, żeby moje ciało spłonęło. Wtedy przynajmniej dusza byłaby wolna”.

„KIM JESTEŚ?”

„Pomóż mi! Musisz mnie odnaleźć. Sama nie mogę uczynić nic, choćby nadszedł koniec świata. Ale chcę wrócić! Chcę!”

„KIM JESTEŚ”

„Nie ma niczego. Tylko wąż. Głowa, i długi jak wieczność, rozdwojony język, Pełen jadu. Ratunku! Podpowiedz mi SŁOWO!”

„TIJANA?”

„Nie mów, że nie znasz SŁOWA! Nie wierzę. Nie wie... Nieee!”

*** * ***

Martinet ocknął się. Pachnący wodorostami i słoną wodą wiatr łaskotał go w twarz. Leżał na czymś twardym. Czuł się silny i wypoczęty. Nagle zaniepokoił się: „Skąd ten zapach?”. Usiłował wstać, lecz powstrzymała go silna ręka.

–Spokojnie. Unikaj gwałtownych ruchów, a energia zawsze będzie w tobie – nad Martinetem pochylał się mężczyzna, którego czarny strój kontrastował z tłem pogodnego, niebieskiego nieba.

–Pan?! – Eric odtrącił rękę i zerwał się na nogi. Był na statku. Wokół,– aż po horyzont, rozciągał się bezkres oceanu.

–Nie obawiaj się – uspokoił go mężczyzna. – Zrozumiałem wszystko i nie mam zamiaru robić ci krzywdy.

Martinet cofnął się. Nie wierzył tym słowom; zbyt wiele przeszedł wcześniej.

–Wcześniej działałem pod wpływem impulsu – powiedział nieznajomy. – Nie znałem prawdy.

–Prawdy?

–Mówiłeś przez sen głośno i wyraźnie, twoje usta przekazywały słowa wypowiedane przez moją córkę. Wzywała pomocy, nie możesz jej odmówić.

–Tijana?! – pojął Martinet. Odnosił wrażenie, że to imię będzie prześladowało go do końca życia. – Ależ ja nic nie rozumiem!

–Będziesz rozumiał – mężczyzna odwrócił się i odszedł w kierunku rufy.

Martinet spoglądał za nim, stojąc nieruchomo jak woskowa figura. Pamiętał swój sen; niezrozumiały, pełen krzyku i przerażenia. Czy był to zwyczajny sen? Chyba nie.

„Zapadłem w trans” – przypomniawszy sobie. – „Ten tajemniczy mężczyzna coś powiedział i wtedy utraciłem świadomość”.

–Zapraszam na kolację – czyjaś ręka ujęła go delikatnie za ramię. Martinet obejrzał się. Ubrany w czarny kostium, kilkunastoletni chłopak, uśmiechał się przyjaźnie.

–Kim jesteś?

–Uczniem mistrza. Proszę na kolację – powtórzył.

Zeszli do kubryka, gdzie czekał zastawiony potrawami stół. Poczucie świeżości, które towarzyszyło Martinetowi po przebudzeniu, gdzieś się ulotniło, ustępując miejsca ospałości i pragnieniu czegoś trudnego do określenia. Wreszcie zdołał sprecyzować żądanie swojego organizmu – odzywał się głód alkoholowy.

–Kim jest mistrz? – zapytał opanowując uczucie suchości w przętyku.

–Czcicielem Słowa – odparł krótko chłopiec. Jego głos wyrażał szacunek.

–Bardzo dziwne imię...

–To nie imię lecz tytuł.

–W każdym razie brzmi niezwykle tajemniczo.

–Czciciel Słowa to powiernik twórcy Wszechświata...

–Czciciel Słowa – powtórzył Martinet. – O jakie słowo chodzi?

–O każde. Nieskończone są Słowa, bo dzięki nim powstało wszystko cokolwiek istnieje, również przestrzeń i czas.

–Nie rozumiem, mówisz zawile.

–Nikt od razu nie zrozumie co to są Słowa.

–Mów. Postaram się zrozumieć – Martinet nalegał z dwóch powodów; po pierwsze był ciekawy, po drugie – musiał się czymś zająć, aby zapomnieć o alkoholowym pragnieniu. Albo raczej w odwrotnej kolejności.

–Wiesz jak powstał Wszechświat? – zapytał chłopiec. W odpowiedzi Martinet wzruszył ramionami.

–A więc słuchaj – głos chłopca był pełen powagi; brzmiał pewnie i dojrzałe, jak głos człowieka świadomego sensu swego życia; nie jak młodzieńca, lecz starca. – Prapoczątek był nicością, pełnym ekstratem niebytu i nagle w tej pustce pojawiło się pierwsze Słowo, które stało się przyczyną powstania Kosmosu. Nie pytaj mnie kto je wypowiedział, bo nie znam odpowiedzi na to pytanie, żaden człowiek nigdy jej nie pozna. Dalsza kreacja materii następowała i wciąż następuje pod wpływem Słów rodzących się we wszystkich rejonach Wszechświata. Cokolwiek jest postrzegalne, istnieje tylko dzięki nim i dzięki nim umiera. My, ludzie, porozumiewamy się wypowiadając wciąż te same zgłoski, które z racji powtarzania się nie tworzą niczego nowego, a jeżeli już czasem zdarzy się zmiana, wszyscy krzyczą: cud! Tymczasem prawdziwe Słowa wciąż czekają na swoich odkrywców, by odpowiednio użyte zmieniać rzeczywistość. Dla Słów nie ma rzeczy niemożliwych.

– Martinet przestawał słuchać zapalczego monologu, nie potrafił skupić się na tyle, aby przeniknąć do końca jego sens. Ogarniało go uczucie niepokoju wzmagane coraz dotkliwszym pragnieniem alkoholu. Próbował sformułować jakieś logiczne pytanie, lecz nagle zrobiło mu się mdło, a w głowie odezwał się szum.

–... Jest takie Słowo, które sprawić może, iż cały Wszechświat zniknie. Małe jest prawdopodobieństwo, że ktoś kiedykolwiek je wypowie, lecz jeśli tak się zdarzy oznaczać to będzie koniec świata...

Nagle Martinet nie wytrzymał.

–Macie tu jakiś alkohol? – przerwał obcesowo. Czuł się coraz słabszy.

–Nie używamy takich napoi – odparł chłopiec spoglądając na niego zimno, prawie pogardliwie.

Skrzypnęły drzwi kubryka i do kabiny wszedł Czciciel Słowa. Postawił na stole butelkę z kolorową etykietką.

–Zdaje się, że o to ci chodzi.

–Zostaw nas samych – rzekł do chłopca, który skłoniwszy się posłusznie opuścił kabinę. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć, choć mógłby czuć się urażony takim traktowaniem.

Martinet odrzucił konwenanse i nie zwlekając odkorkował butelkę, po czym rozlał wódkę do szklanek. Wypił sam, gdyż Czciiciel Słowa odsunął szklanę, daleko od siebie.

–Myślałem, że pan nie żyje – rzekł Martinet, gdy przyjemne ciepło rozeszło mu się po żołądku.

–To jest niemożliwe – odparł mistrz – znam Słowo, które uczyniło mnie nieśmiertelnym.

W oczach Martineta błysnął strach. Chwycił za szklanę i zauważył, że drży mu ręka.

–Nie wierzę.

–Nie szkodzi – mistrz przymknął powieki. – Nie to jest ważne.

–Więc co?

–Tijana potrzebuje twojej pomocy. Przypilnuję, byś jej udzielił czy chcesz tego, czy nie.

–Nie znam Tijany!

–Znasz. Twoja podświadomość zna ją tak dobrze, że zdolna jest nawiązać z nią kontakt. Wykorzystamy to i odnajdziemy moją córkę.

–Nie domyślam się nawet gdzie mogę jej szukać! – zaproponował Martinet.

–Tijana przebywa poza światem materialnym.

–To żart?

–Znalazła się tam za przyczyną Słowa, którego użyła chcąc wrócić do domu. Ale użyła go nieprecyzyjnie i opuściwszy jeden punkt czasoprzestrzeni nie pojawiła się w drugim. Utkwiła gdzieś między bytem a niebytem, między życiem a śmiercią, pozbawiona ciała i własnej woli. Zdołała uciec od ciebie, od koszmarnego świata pijanego eks-boksera, lecz świat, w którym żyła, nagle stał się nieosiągalny. Wiedza o Słowach bywa niebezpieczna. Przed kilku laty Tijana również błędnie użyła pewnego Słowa. Wtedy na jej plecach pojawił się okropny tatuaż przedstawiający głowę węża. Mimo wielu starań nie zdołała się go pozbyć. Jednak tym razem sprawa wygląda o wiele poważniej, na szczęście mam dowód, że moja córka żyje, świadczą o tym słowa wypowiedziane przez ciebie w letargu. Płyniemy teraz na Wyspę, tam nauczę cię wiedzy o Słowach i razem odnajdziemy Tijanę. Musisz mi pomóc udostępniając swoją podświadomość, gdyż dla mojej córki jest to jedyna droga powrotu.

Martinet słuchał jak we śnie. Jego podświadomość. A cóż to jest? Dlaczego właśnie jego? Sięgnął po butelkę, lecz ruch był zbyt gwałtowny – butelka zakołysała się i zsunęła ze stołu, i wtedy czas zwariował. Martinet poczuł, że ogarnia go uczucie dziwnej rozkoszy; z jego umysłem, ciałem, wszechświatem stało się coś, czego niezdolny był pojąć. Mijały sekundy, minuty, a butelka wciąż spadała. Jej bezwładny lot zdawał się ignorować upływ czasu.

Wreszcie jednak rozbiła się o podłogę. Prysnęły odłamki szkła.

–Odnajdę Tijanę – stwierdził Eric Martinet.

Powietrze skaziła ostra woń parującego alkoholu – niczym opary siarki po szatanie, który zapadł się pod ziemię.

Półtora roku później córka Czciela Słowa powróciła do świata. Słowo, które ją sprowadziło było bardzo trudne, a wypowiedział je Eric Martinet, gdy zrozumiał swoją podświadomość:

–Kocham cię.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-19

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/